

W numerze: **Dzień bez bedekera** • **Pecunia non olet** • **Moje trzy grosze**
Malowanie na dwadzieścia ręk • **Hitchcock o królobójstwie** • **Wiersze**
Felietony • **Recenzje** • **Polonica**

odgłosy



Nr 34 (350)
 29 VIII 1965
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



FELIKS BABOL

CAŁA POLSKA WYJEZDZA Z ŁODZI

Z łódzkich stacji kolejowych będących w zasięgu działania tutejszego Oddziału Ruchowo-Handlowego wyjeżdża rocznie około 33 mln pasażerów, a więc nieco więcej, niż wynosi ludność całej Polski. Co roku kolejarze łódzcy załadują kilkadziesiąt tys. wagonów towarowych i wyladują dużo więcej. Tylko w maju br. (miesiąc bez świąt i przed „szczytem”) z łódzkich stacji wyjechało w Polskę i świat 2 mln 816 tys. pasażerów czyli cztery razy więcej niż liczy mieszkańców naszego miasta, w „szczyście” lipcowym zaś frekwencja na Fabrycznym wzrasta o 30 proc., na Kaliskim o 40, a na Chojnach, gdzie nie ma kanalizacji ani możliwości napicia się herbaty czy wody sodowej — o 60 proc.

W lipcu i sierpniu z Łodzi wyjeżdża ponad 50 tys. dzieci na kolonie i obozy, a na Kaliskim, gdzie jest wielki, przestronny podjazd, dzieją się wtedy sceny dantejskie. Ludzie wsiadają do nie swoich pociągów, dzieci płaczą, a walczących o miejsca przy oknie czy w ogóle o jakikolwiek miejsce w wagonie z trudem tylko rozdziela dworcowa milicja.

Jakże aktualne też w okresie „szczytu” na łódzkich dworcach jest hasło reklamowe wymyślone ostatnio przez jednego z czytelników „Kulis”: „PKP poleca komfortowe bufory i stopnie...”

Gdy zaś czytelniku już wyjechał z Łodzi, nachodzi cię również myśl o stratach jakie ponosi... literatura, bo kto dziś oddaje się w wagonie lekturze tzw. książek „do pociągu”? Może najwyższe jego kierownictwo czy konduktor korzystający ze specjalnych przedziałów... Ale pasażer jadący z Łodzi do Gdyni na jednej nodze? W korytarzu?...

Po wolnie staliśmy się narodem podróżującym. W ciągu miesiąca nasze koleje prze-

Dalszy ciąg na str. 3

LESZEK ST. RUDNICKI

„NA SIODLE I POD SIODŁEM”

— Stój diable! Gdzie cię niesie bydlę zatracone?!

— Za prowadzącym, zmiana kierunku przez ujeżdżalnię, marsz!

Grzbiet zaczyna sztywnieć i zwolna omdlewają ręce. W dodatku nieustłuchane konisko ciągle wyczynia jakieś harce.

— Stradom, spoko-o-jnie. Wolniej

Stradom. — Głośniejszy okrzyk któregoś z masztalerzy wyrzuca konia z szeregu i ponosi w dzikim galopie. Siedzenie klapie nieprzytomnie o siodło, a strzemiona uciekają gdzieś do przodu. — Stradom! — A potem ziemia podchodzi pod nos i wbrew prawu natury zwala się na barki.

Zazwyczaj ciężki i mało zwrotny koń ni z tego ni z owego skacze przez żywopłot i z poślizgiem wpada do stajni. Nieszczęśliwa ofiara konskich humorów zbiera się z wolna do kupy patrząc spodoba na krzątających dokola kolegów. Nikt się jednak nie śmieje. Tylko koniuszy pyta z daleka ze stoickim spokojem — „A to co za porządek? Kto kazał zsiadać z konia?”

Nazywa się to „wczasy w siodle”. Pojętna nazwa obudziła w duszach studenckich zamarłego ducha sarmackiego. No, bo przecież Polak i koń to w historii ludzkości istoty nierozłączne. Gdzie te czasy szaleńczych gonitw w bezkresie pól i łąk, te galopady na czele cwałujących szwadronów. E! Łza się w oku kreśli. Jadą więc z całej Polski do wyznaczonych stad, by pokosztować rozkoszy — jedni z niespożyta energią i pewnością sukcesu, inni z odrobiną rezerwy.

I pierwsze rozczarowanie. W boksach stoją sobie pocziwie wyglądające gudzbrandale, fiordy, mazury i oszmiany. Ciężkawe to jakieś, przysadziste, wcale niepodobne do tych wysłonych arabów, czy angloarabów. Drugie rozczarowanie. Nie ma spacerów po łąkach i lasach. Jest za to jazda w kółko po ujeżdżalni. Grzecznie, za masztalerzem prowadzącym konia na łaży. Zresztą jak na pierwsze dni i to wystarczy. Ciało nie przywykłe jeszcze do

siedzenia w siodle, rzucane w takt, nieraz sztorcowatego klusa, zaczyna piekielnie dawać się we znaki. Wyszczepane przez pułską tydki i solidnie odbite siedzenie są pierwszym haraczem płaconym przez początkującego jeźdźcę. Dopiero potem, gdy opanuje się zdolność zharmonizowania swoich ruchów z ruchem konia, kiedy jeździec przestaje przypominać przetrzucony przez siodło materac — wtedy jazda staje się przyjemnością. Dużo jednak wody upłynęło nim wreszcie grupa wyjeżdźle poza teren stada. To już wymaga większego opanowania konia i... własnych nerwów.

Poza normalnym wożeniem się na siodle jest jeszcze inna przyjemność, dostarczająca przy tym wielu emocji. Skoki. Stopniowo bardziej zaawansowani jeźdźcy zaczynają dosiadać niejednych w Braniewie (rejonizacja ras) „cienkich”, szlachetnych koni. Potem uczą się przechodzić nad przeszkodą. Początkowo śmiesznie niską, a dalej coraz wyższą. Nie obędzie się tu bez fikania koziołków. Bywa, że jeździec chce jechać prosto, a koń ma ochotę skrócić. No i jadą, każde w swoją stronę, a prowadzący ma znów okazję porządzić — „Do licha z taką jazdą, kto kazał zsiadać?”

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Często słyszymy, że politycy boją się i działacze rewizjonistycznych organizacji w NRF wysuwając roszczenia terytorialne powołując się na tzw. prawo do stron ojczyźnych (Recht auf die Heimat). Jak wygląda to zagadnienie w świetle prawa, dokumentów i międzynarodowej praktyki? Dlatego czasem argument niemieckich odwetowców stwarza pozory ich dobrej pozycji w dyskusji. Chcąc zapoznać się z tą sprawą bliżej trzeba odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań, z których pierwsze brzmią: — Skąd pochodzi owo „prawo do ziem ojczyźnych”? Zarówno samo hasło, jak i teoria z nim związana jest dziełem wielu spekulacyjnych prac niemieckich prawników, będących na usługach rewizjonistycznych instytutów i organizacji.

Na marginesie warto dodać, że chociaż brak jest w NRF subwencji rządowych na popieranie rozwoju nauki, a przede wszystkim nauk humanistycznych, rząd boński przeznacza ogromne sumy na wydawnictwa i instytuty podporządkowane rewizjonistycznej propagandzie. Dla badania tzw. problemów Europy wschodniej istnieje około 20 dużych instytutów naukowych. Tylko zagadnieniom byłych Prus Wschodnich poświęca się 24 tytuły różnego rodzaju czasopism i wydawnictw. Pracownicy tych redakcji i instytutów stają przed problemem zmniejszania się liczby argumentów uzasadniających rewizjonistyczne roszczenia. Szybki rozwój gospodarczy NRF przekreślił bowiem argument o niedzielnym i niemożliwości wyżywienia ludności zamieszkującej na ich nowym — zmniejszonym terytorium. Również przesiedleńcy asymilowali się szybko i zostali uchłonięci przez gospodarczo-społeczny organizm NRF. Nie pomogło złuteczne podtrzymywanie rozpadających się obosob przemieszczonych oraz zabiegów statystycznych, którzy do przesiedleńców zaliczali nie tylko osoby faktycznie przesiedlone, ale i ich dzieci — urodzone już w Niemczech zachodnich.

W tej sytuacji rozpoczęła szeroka praca nad poszukiwaniem nowych uzasadnień wysuwanych żądań. Słynęło m. in. do Deklaracji Praw Człowieka, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 roku i z artykułu 13 punktu 2 tej Deklaracji, a ściślej mówiąc ze słów: „Każdy ma prawo opuścić jakikolwiek kraj, łącznie z własnym, jak również do swobodnego powrotu” — niemieccy prawnicy wydedukowali „prawo do ziem ojczyźnych”. Trudno jednak traktować poważnie zbiory spekulacji prawnofizjologicznych, opartych na cytowanym artykule, chociażby dlatego, że sens drugiego członu przytoczonego zdania odnosi się do sytuacji prawnych, absolutnie różnych niż położenie przesiedlonych Niemców.

I tu dochodzimy do drugiego pytania: — Jaka jest sytuacja Niemców i Polaków w świetle prawa międzynarodowego? Problem granic w Europie — w tym również i granic Polski — był przedmiotem wieloletnich rozmów przedstawicieli Wielkiej Trójki w okresie II wojny światowej. Władze postanowienia w omawianej sprawie zapadły na Konferencji Poczdamskiej. W uchwale tej Konferencji czytamy:

„Trzej szefowie rządów zgodzają się, że w oczekiwaniu na ostateczne oznaczenie zachodnich granic Polski, byłe niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od Morza Bałtyckiego przez Świnoujście i stąd wzdłuż rzeki Odry do jej zbiegu z zachodnią Nysą i wzdłuż zachodniej Nysy do granicy Czechosłowacji, włączając te części Prus Wschodnich, która nie została oddana pod administrację Związku Radzieckiego, zgodnie z porozumieniem osiągniętym na tejże Konferencji i włączając obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, będą pod administracją Państwa Polskiego”.

Zapadły tutaj również postanowienia

nia w sprawie Niemców zamieszkujących obszary byłej Rzeszy, które weszły w skład terytoriów innych państw.

Niemcy — stwierdza Uchwała Poczdamska — z granic tych państw będą wysiedleni.

Oczywiście nikt wówczas nie wątpił w trwały charakter poczdamskich rozwiązań, reszta kórzyści z takiego postawienia sprawy są wieloletnie, że wymienię podstawowe: 1) militarnym niemieckiemu zadano dotkliwy cios, odbierając mu przestrzeń wieloletnio zagrabioną, 2) rozwiązano najbardziej agresywną państwo niemieckie, ostatek junkierskiej tradycji — Prus. Przekonanie o słuszności tych decyzji było w opinii narodów tak powszechne, że nawet ówczesny prezydent USA Harry Truman oświadczył po powrocie z Konferencji Poczdamskiej dziennikarzom w Waszyngtonie, że „przypomnienie Ziemi Zachodnich Polsce umożliwi osiedlenie w okęgach zachodnich tych Polaków, którzy w drodze repatriacji wracają do kraju i Polska będzie stanowiła pod względem narodowościowym jednolitą całość Uchwały Poczdamskiej przyczyniła się do stworzenia silnego, niezależnego państwa polskiego”.

Zrozumiałe, że decyzje Wielkiej Trójki stworzyły nowy stan faktyczny, którego trwałości nie można dzisiaj kwestionować. Dla ludzi osiedlonych na Ziemiach Zachodnich i często tu urodzonych, odzyskanie po II Wojnie Światowej przez Polskę obszary są ich ojczyzną. Deklaracja Praw Człowieka, a podstaw której leży jak najbardziej humanitarne zasady, oczywiście przemawia za naszą racją stanu. Jej ideą przewodnią jest bowiem niedopuszczenie do jakiegokolwiek przynusowego przesiedlenia ludności, z wyjątkiem wypadków o charakterze katastrof dziejowych. Właśnie Deklaracja, jej litera i duch sprzeciwia się „jakiegokolwiek zmianom na ziemiach, z mocy układów międzynarodowych przez nas otrzymanych i w dobrej wierze przez Polaków zamieszkanych.

Na zakończenie jeszcze jedno niebagatelne pytanie: — Jak rewizjonistcy niemieccy rozumieją prawo do ziem ojczyźnych? Odpowiedziało na nie podczas manifestacji odwetowych wielu polityków NRF. Najpełniejszą odpowiedź, zaspakajającą apetyty najbardziej agresywnych kół dał „wybitny” działacz związku organizacji przesiedleńców — Krueger. Definiując — w przemówieniu w Duisburgu — prawo do ojczyzny, oświadczył, że pojęcie to obejmuje następujące postulaty: zjednoczenie Niemiec, przyłączenie wszystkich utraconych obszarów i prawo do autonomizacji życia ludności niemieckiej na innych obszarach. Innymi słowy mówiąc, najpierw przyłączenie NRD do Niemiec zachodnich, następnie włączenie „utraconych obszarów na wschodzie”, a w trzecim stadium stworzenie swobodnych grup mniejszości niemieckiej na terytorium obcych państw.

Jakże zbliżone jest to oświadczenie z żądaniami wysuwanymi przez reżim Hitlera. Znany hitlerowski przywódca Niemców sudeckich — Heinleins Reich” przez które oczywiście rozumiał zabór Sudetów przez III Rzeszę. W tym samym okresie Hitler ufał znanej „teorii” tzw. komnacjonalnej interwencji, czyli prawa państwa niemieckiego do „zwiększenia w ochronę” niemieckich mniejszości narodowych przebywających poza granicami Niemiec. Jesienią 1938 roku niemiecka mniejszość narodowa w Polsce zażądała, na wzór Niemców sudeckich, tzw. „Volksgruppenrecht” (prawo grup narodowych), przez które rozumiano uprawnienia mniejszości niemieckiej do tworzenia własnego organizmu państwowego wewnątrz państwa obcego. Jak wyglądała realizacja tego „prawa” pamiętamy doskonale.

Tak zwane prawo Niemców do ziem ojczyźnych jest więc tylko hasłem propagandowym niemieckich odwetowców. Nie ma żadnej normy prawnej, która uzasadniałaby żądania rewizjonistów, a już najmniej mogą się oni powoływać na Deklarację Praw Człowieka. Takie jest nie tylko nasze zdanie, ale i bardzo wielu poważnych ośrodków politycznych w świecie.

JAN PAJULA

TKRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA
15 sierpnia

Prasa całego świata w obszernych artykułach omawia wydarzenia w Los Angeles. Korespondent „Prawdy” pisze, iż wydarzenia te zadają cios prestiżowi Stanów Zjednoczonych i mitowi „wielkiego społeczeństwa”. Francuski „Les Echos”: „Murzyni amerykańscy walczą dziś w rzeczywistości już nie o równość polityczną lub rasową. Rozpoczęli oni wojnę o równość ekonomiczną”. W czasie pięciodniowych rozruchów murzyńskich określonych przez gubernatora Kalifornii Browna jako powstanie, stracili żyć 33 osoby, w tym 27 Murzynów.

Premier Sudanu Mahgoub oświadczył, że „rebela w południowym Sudanie inspirowana jest przez mocarstwa imperialistyczne spoza Afryki, które pragną wywołać rasowe i religijne tarcia między państwami afrykańskimi”.

PONIEDZIAŁEK
16 sierpnia

Z okazji dwudziestej rocznicy niepodległości Indonezji prezydent Sukarno wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że Indonezja, Kambodża, Wietnam, Północny, Chiń i Korea Północna utworzą front antyimperialistyczny. Prezydent oświadczył także, że Indonezja użyje bomby atomowej, jeśli zajdzie tego potrzeba w walce przeciw imperializmowi. „Posiadamy obecnie własne rakiety, pociski rakietowe — dodał — i będziemy nadal produkować te rodzaje broni dla obrony naszego kraju”.

W Czechosłowacji obniżono ceny niektórych wyrobów przemysłowych, m.in. wyrobów tekstylnych o około 45 proc., motorów o około 30 proc., telewizorów o około 25 proc. i lamp elektrycznych o około 70 proc. Obniżono również ceny niektórych rodzajów naczyń metalowych, wyrobów szklanych, porcelany, ceramiki, zabawek i biżuterii.

Na mocy uchwały Rady Państwa Rumuńskiej Republiki Ludowej, Państwowy Komitet Kultury i Sztuki ogłosił konkurs publiczny na hymn państwowy.

WTOREK
17 sierpnia

Przewodniczący Federacji Jugosłowiańskich Związków Zawodowych Vukmanović oświadczył, że obecnie po wprowadzeniu w Jugosławii na szeroką skalę reformy gospodarki i finansów stopa życiowa ludności ogólnie obniżyła się, lecz „standard życiowy w Jugosławii za miesiąc lub dwa powinien zacząć się podnosić”.

Przewodniczący zachodnio-niemieckiej CDU Konrad Adenauer w niezwykle ostrych słowach zaatakował amerykański projekt układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej, przedłożony ostatnio w Genewie. „Amerykański plan — powiedział Adenauer — jest tak straszny, tak potworny iż na długą metę Europa zostaje

łaby poświęcona Rosjanom”. Genewska konferencja rozbrojeniowa nie zasługuje zdaniem Adenauera na te nazwy, ponieważ w Genewie mają być rozbrajane te państwa, które posiadają broń atomową, ale te, które jej nie posiadają.

Granice Anglii i dziś leżą w Himalajach.
Harold Wilson

ŚRODA
18 sierpnia

Projekt umowy konsularnej USA-ZSRR znajdujący się w Senacie amerykańskim od kilku miesięcy i pozytywnie zaopiniowany przez senacką komisję spraw zagranicznych nie będzie poddany pod dyskusję ani głosowanie w czasie bieżącej sesji Senatu, ponieważ administracja obawia się, że w obecnych warunkach senat mógłby ten projekt odrzucić.



W wietnamskiej dżungli: — Słuchaj Bob, co się dzieje w tym Los Angeles (Die Welt)

W Chinach ma ukazać się ponowny przedruk pracy Mao Tse Tung'a pt. „Problemy strategii w wojnie partyzanckiej przeciw Japonii”. Dziś jest całkowicie jasne — pisze agencja Nowych Chin — że teoria wojny ludowej zawarta w artykule towarzysza Mao Tse Tung'a posiada duże znaczenie polityczne dla narodu chińskiego i dla narodów całego świata w walce przeciwko imperializmowi USA i jego sługusom oraz posiada szczególne znaczenie dla uciskanych narodów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej w ich walce o wyzwolenie.

CZWARTEK
19 sierpnia

Jak wynika z opublikowanego w Stanach Zjednoczonych stenogramu wypowiedzi ministra obrony USA McNamary na zebraniu senackiej komisji kredytowej, przeciwlotnicze rakiety radzieckie strąciły w ciągu ostatnich kilku lat szereg samolotów U-2”.

Reporter amerykańskiego pisma „U.S. News and World Report” przynosi korespondencję z Syjamu wyrażającą obawę, iż kraj ten może stać się wielokrotnie widownią wojny rewolucyjnej. „Reporter, który tak jak ja był świadkiem wcześniejszej fazy wojny wietnamskiej dostrzegając przerażające podobieństwo ogładające Syjam”. Wydaje się — kontynuuje autor — że stolica Bangkok jest w takim samym letargu jak Sajgon. Panują nadzieje, że zagrożenie zniknie, tymczasem w tonie rzędu rodzi się chaos.

Zarząd krajowy bawarskiej partii FDP wypowiedział się w swym memoriale na rzecz wystąpienia NRF z NATO i NRD z Układu War-

szawskiego. Zdaniem bawarskiego kierownictwa tej partii konieczne jest utworzenie w Europie strefy bezatomowej i strefy ograniczonych zbrojeń.

W polityce jak w życiu... Kto otwiera drzwi, ten wchodzi ostatni.
Antoine Pinay

PIĄTEK
20 sierpnia

Między szwajcarską firmą naftową a radzieckimi organizacjami handlowymi zawarto kontrakt na dostawę poważnych ilości ropy naftowej. W okresie do końca 1972 roku Związek Radziecki dostarczy szwajcarskiej rafinerii 7 milionów ton nieprzetworzonej ropy naftowej.

Zachodnio-niemiecki „Der Spiegel” o kampanii wyborczej w NRF: „Tematy i obietnice bojowników w wyborach podobne są do siebie jak jaja. Im bardziej wycieka substancja z polityki niemieckiej, im mniej jest spornych problemów i alternatyw, tym bardziej trywialna staje się walka o władzę. Politycy, partię, hasła — wszystko staje się wymienne”.

Władze kubańskie wydały zarządzenie w sprawie zdeponowania broni przez oso-

SOBOTA
21 sierpnia

Organ jugosłowiańskich związków zawodowych, dziennik „Rad” o sytuacji w SFZZ przed warszawskim światowym kongresem związków zawodowych: „Przygotowania do październikowego kongresu Światowej Federacji Związków Zawodowych w Warszawie wykazują, że w szeregach tej światowej organizacji trwają nadal różne poglądy i następuje rozwarstwienie. Dotychczas wykorzystywali się trzy stanowiska: tezy sekretarza generalnego Lotis Saillanta, tezy chińskiej będące tezami mniejszości i tezy Włoskiej Powszechnej Konfederacji Pracy”.

Zdaniem „New York Herald Tribune” profaszyzowska organizacja John Birch Society jest najbardziej rosnącą organizacją w Stanach Zjednoczonych. Liczne członków tej organizacji szacuje się na 180-240 tysięcy. W zawrotnym tempie rośnie jej finans. Coraz efektywniej wpływa ona na politykę na szczeblu lokalnym i stanowym. Winę za wzrost John Birch Society dziennik przypisuje przedstawicielom konserwatywnego skrzydła partii republikańskiej, którzy nie dopuścili do potępienia jej ideologii na konwencji republikańskiej w 1964 roku w San Francisco.

POLONICA

SUKCES POLSKI
NA BIENNALE

Już na I Biennale Międzynarodowym w Lozannie polskie tkaniny artystyczne ocalały się rewelacyjnie wyprzedzając taką potęgę w dziedzinie tkanin, jak Francja mająca za sobą historyczne tradycje Gobelins, Aubusson i Beauvais. Na II Biennale w Lozannie (od 11 lipca do 26 września br.) zanosi się

WIESŁAWA LUBKOWSKA
W „SOWIECKOJ KULTURIE”

„Sowiecką Kulturę” z dnia 31 lipca br. zamieściła dwa opowiadania humorystyczne Wiesławy Lubkowskiej w przekładzie G. Gudimowej i W. Perelman. Są to opowiadania: „Wielka sztuka” i „Polec w uchu”.

Opowiadania zostały opatrzone następującym komentarzem: „Wiesława Lubkowska jest znana polską autorce-satyrkiem. Jej opowiadania i felietony systematycznie są publikowane przez prasę polską. Radzieckim czytelnikom

POLONICA

Lettres Françaises” i tym razem wymienia na I mieście Polaków, którzy zbliżali wszelkie dotychczasowe polskie francuskie i francuskie ośmiu artystów: Aleksandra, Stefana Galkowskiego, Adama Kierkowskiego, Jolanty Owidzkiej i Wojciecha Sadleja. Ponadto pismo daje fotografie tkaniny Owidzkiej „Drzewa zła”.

W. Lubkowska jest znana z serii humorystycznych opowiadań drukowanych w „Krokodylu”. Należy zaznaczyć, że powyższe opowiadania zostały napisane specjalnie na zamówienie redakcji „Sowieckoj Kultury”.

CAŁA POLSKA WYJEŻDŻA Z ŁODZI

Dalszy ciąg ze str. 1

woża obecnie 78 mln pasażerów, a w 1936 roku przewoziły 14,5 mln. Jeździmy pięć razy częściej, bo i bilety kolejowe są stosunkowo tańsze niż przed wojną, bo i gospodarka narodowa tego wymaga, aby zaopatrzeniowcy okrągły rok byli w podróży szlakuje szluki i rurek, bo i zjednoczenia i ministerstwa muszą stale mieć przed oczyma pracowników podległych sobie przedsiębiorstw. Niezależnie bowiem od tysięcy ton okólników i zarządzeń kraczących po kraju, dyrektor chce widzieć minę kierownika, dyrektor zjednoczenia — minę dyrektora przedsiębiorstwa...

Naród podróżuje pięć razy częściej niż przed wojną również i dlatego, że uruchomiliśmy wczasy we wszystkich zakątkach kraju, że mamy coraz więcej festiwali, zjazdów i kongresów, że każda szanująca się instytucja musi od czasu do czasu urządzać kursy-konferencje w drugim końcu Polski.

Ale czy z tego nowego hobby Polaków wyłazł jakiś właściwy wniosek. Na dworcu Fabrycznym w Łodzi można przejechać nadal rozmawiać nad przeszłością, wspominać dawne dzieje, jak to namiestnik Berg uroczystie otwierał dworzec i linię do Kozłowa, łączącą stolicę bawelnianą Królestwa z koleją warszawsko-wiedeńską, jak to sam Scheibler podejmował carskich dygnitarzy obiadem, jak przemawiał wysławiając dobrodziejstwa cara Aleksandra II, który dojechał żywotnie potrzeby łódzkiego ośrodka przemysłowego...

Można na dworcu Fabrycznym snuć wspomnienia, bo to dworzec bogaty w pamiętki i biedny w nowoczesność, bo to zażytek. Myślę też, że najwyższy czas, aby PKP zaczęły organizować specjalne pociągi do Łodzi dla miłośników przeszłości z całej Polski — w dniu 19 listopada br. bowiem mija akurat 100 lat od owych uroczystych chwil z Bergiem i Scheiblerem na Fabrycznym, z oprowadzającymi po tym muzeum będącymi w ukazaniu historii szczególnej łatwości, gdyż przez te sto lat niewiele się tu zmieniło.

Byłoby może uproszczeniem sądzić, że dworce w Katowicach, Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, czy Poznaniu to cała „Europa” tylko dla tego, że miasta te mają u siebie dyrekcje okręgowe PKP, ale przecież w mentalności przeciętnego łodzianina zamieszkania inwestycyjne łódzkiego węzła kolejowego są wynikiem traktowania Łodzi jako kolejowego kociuszka. Łódź odebrała dyrekcję PKP, chociaż takie „dyrekcyjne” ośrodki jak Szczecin, Lublin czy Wrocław obsługują dużo mniejsze ilości pasażerów, chociaż Łódź leży, w samym środku kraju, chociaż mieści się tu największa ilość podstawowych central handlu zagranicznego i zjednoczeń przemysłowych, chociaż to miasto drugie w Polsce pod względem liczby mieszkańców.

Wice gdy odebrano Łódź dyrekcję PKP rozlała się zła krew po łódzkich zjednoczeniach i większych zakładach przemysłowych, po centralach. Co prawda w Łodzi można załatwić niektóre sprawy należące do kompetencji DOKP (rezerwacja miejsc na potrzeby turystyczne, zezwolenia na przewóz przesyłek ekspresowych o wadze większej niż zezwaliała przepisy itp.), ale w zasadniczych sprawach trzeba jeździć do Warszawy, której Łódź podporządkowano.

W pociągu rannym do stolicy jest wielu urzędników z central, fabryk i zjednoczeń, którzy tracąc własny czas pomagają... przekładać pieniądze państwowe z jednej kieszeni do drugiej (delegacje służbowe — wpływy kas biletowych) po to tylko, aby załatwić w Warszawie przydział jeszcze paru wagonów na potrzeby eksportu, na potrzeby dużej fabryki. Gdy pod koniec miesiąca czy kwartału plany przynaglają, to wyjeżdży urzędników do stolicy są jeszcze częściej.

Z drugiej strony mają rację podobno ci specjaliści z Centralnego Ośrodka Badań i

Rozwoju Techniki Kolejnictwa w Warszawie, którzy twierdzą, że w przyszłości zarządzanie ruchem kolejowym będzie i tak jeszcze bardziej scentralizowane. Podobno zanosiło się już na bliską likwidację dykcji w Lublinie i Szczecinie, ale jakoś do tego nie doszło. W każdym razie — jak twierdzą specje — kolejami polskimi można śmiało zarządzać i przy pomocy pięciu dykcji a nie ośmiu. Tak jest w tej chwili. Oczywiście nie zaraz, nie jutro, a wtedy, gdy na usługi komunikacji w naszym kraju przejdą najnowsze osiągnięcia techniki, mózgi elektroniczne itp. Na razie więc spójrzmy na koleje, na łódzki węzeł, łódzkie dworce i na potrzeby rzeszy pasażerów tak, jak nam na to pozwala kolejowa rzeczywistość.

Co roku na przykład dochodzi do głosu interes pasażera, a mianowicie w okresie przygotowań do rozkładu jazdy na następny okres. Czy ten głos jednak jest usłyszany?

Pracownicy łódzkiego węzła rok temu zbiegali opinie na temat rozkładu, który obowiązywał w tym roku i do połowy roku przyszłego. Opatrzyli te opinie własnym kolejarzskim słownikiem i postali na konferencji rozkładowej. Co z tego wynikło?

„W trasie obecnego pociągu pospiesznego Łódź Kal. — Ustka uruchomić — postulowali kolejarze z łódzkiego PKP — pociąg osobowy w relacji Łódź Kal. — Kozłobrzeg. Odjazd z Łodzi Kal. godz. 20.00, przyjazd do Kozłobrzegu w godz. 5.30-6.00. Wcześniej przyjazd do Kozłobrzegu umożliwi uzyskanie połączeń w kierunku Trzebiatowa i Ustro-

nia Morskiego. W okresie letnim pociąg ten kursować powinien minimum trzy razy w tygodniu, a w okresach 28-3 i 14-17 każdego miesiąca codziennie. Z uwagi na duże nasilenie wyjazdów w kierunku tego okręgu Wybrzeża, obecny czasokres kursowania tego pociągu nie zaspokaja istotnych potrzeb”.

Ten postulat załatwiono połowicznie: pociąg jest ale pospieszny, a nie osobowy (pewnie zgodnie z zasadą: „chcesz wygod — to płacić!”).

Inny postulat Łodzi:

„Uruchomić pociąg osobowy przyspieszony w bezpośredniej komunikacji Łódź Kal. — Olsztyn przez Toruń, Hławę. Łódź nie posiada bezpośredniego dogodnego połączenia z Pojezierzem Mazurskim, a frekwencja podróży w tym kierunku jest bardzo duża”.

Ten postulat załatwiono odmownie. Jak mi powiedziano w Łódzkim Oddziale Ruchowo-Handlowym — „pociąg wysiadł, bo podobno nie starczyło limitu w pociągo-kilometrach...”

Następny głos podróży z Łodzi dotyczący codziennego kursowania w okresie letnim pociąg Łódź Kal. — Gdynia również został głosem wołającym na puszczy. Co łódzianie otrzymali, to połączenie z Wybrzeżem tylko w dni określone (od 29 do 3 i od 14 do 17 każdego miesiąca).

Nie znalazł oddźwięku i następny postulat w sprawie wygodnych połączeń Łódź z Zakopanem i Krynica, mimo że argumentowano go dość dramatycznie „Łódź nie posiada w ogóle bezpośredniego połączenia z uzdrowiskami w Żegiestowie, Krynicy itp. a korzystanie przez pasażerów z Łodzi z pociągu 1303 jest niewygodne z uwagi na

konieczność przesiadania się w Kozłuskach (z wyjazdów w tych kierunkach korzystają ludzie chorzy) i niemożność znalezienia w pociągu miejsca, gdyż pociąg ten” — cytujemy z dokumentów — „jest zapełniony przez społeczeństwo Warszawy”.

Załatwiono prośbę, aby „Pomorzanin” chodzący z Łodzi do Gdyni w podwójnym składzie (po tej zmianie wykorzystanie „Pomorzanina” w dalszym ciągu jest 100-procentowe), uwzględniono postulat przedłużenia trasy pociągu wrocławskiego (o 20.10 do Jeleniej Góry, z czego ucieszyli się najbardziej ludzie chorzy na serce, udający się do Kudowy, ludzie cierpiący na choroby górnych dróg oddechowych, wyjeżdżający do Dusznik, Polanicy i Łądku Zdroju.

Ale z kwitkiem odeszli mieszkańcy jednego z największych w Łodzi osiedli mieszkaniowych na Teofilowie i Zabieńcu, którzy prosili o drobniak — jednodniowy postój na Zabieńcu pociągu Łódź Kal. — Szczecin, mimo że argumentowali w ten sposób: z tego postoju korzystałoby tysiące ludzi w ciągu roku, postój umożliwiłby pominiecie zatłoczonej komunikacji miejskiej w drodze na dworzec Kaliski.

Praktykę obowiązującego obecnie rozkładu, o który tu chodziło, znają jednak dobrze wszyscy wyjeżdżający łodzianie, ten rozkład zresztą odczuwają na własnej skórze wszyscy ci, którzy wykupili bilety do połowy roku przyszłego, obecnie bowiem trwa już nowa bitwa o interesy Łodzi i jego mieszkańców w nowym rozkładzie, który opracowany zostanie na rok kolejowy 1966-1967. Wśród postulatów obecnie wysuwanych znalazło się sporo żądań niezrealizowanych w latach poprzednich, łodzianie pukają i pukają ciępliwi, doszło jednak i nieco nowych. Co jest w nich najważniejsze. Chyba argumenty... Zacytujmy kilka z nich:

„Z uwagi na dużą frekwencję (tak nazywa się przeraźliwy tłok, deptanie sobie po nogach, jazda na stopniach i na buforach, jazda na jednej nodze itp.) na trasie Łódź Kal. — Gdynia — zawsze w granicach od 120 do 150 proc. — w nowym rozkładzie jazdy pociąg nr 1526 powinien kursować przez Kutno, Toruń, Bydgoszcz, gdyż trasa ta umożliwiła zastąpienie większych składów niż dotychczasowa”.

„Wyznaczyć pociąg 1625 do kursowania w bezpośredniej relacji Łódź Kal. — Wrocław — Kłodzko — Kudowa Zdrój... Połączenie Wielkiej Łodzi z uzdrowiskami w Kotlinie Kłodzkiej jest problemem dotychczas nierozwiązanym, a wielokrotnie postulowanym. Łódź posiada sanatoria w Polanicy, Dusznikach, Kudowie itd., a sprawa podnoszona jest ostatnio bardzo mocno przez Radę Narodową, prasę i radio”.

„Na stacji w Kozłuskach w ruchu dalekobieżnym zwiększyć postoje do 2-3 minut, umożliwiając w ten sposób podróżnym zajęcie miejsc w wagonach komunikacji bezpośredniej, z miejscami rezerwowanymi, sygnalnymi i zagranicznymi. Obecnie postoje są stanowczo za krótkie”.

W tych postulatach, które wpłynęły już zresztą do DOKP w Warszawie, jest również wiele słów w interesie mieszkańców małych podłódzkich miejscowości, których kontakty ze światem i krajem są jeszcze mniej wygodne, ale najwięcej jak dotychczas głosów dotyczy Łodzi, 740-tysięcznego Kociuszka kolejowego, który w samo 100-lecie dworca Fabrycznego dochrapał się wreszcie planu przebudowy tego zabytku, i który w osiemdziesiątą którąś rocznicę otrzyma również plany modernizacji dworca Kaliskiego. Nie łudźmy się jednak — zabrakło środków inwestycyjnych na nowe gmachy i jak nazywają to fachowcy — „prace modernizacyjne odbywać się będą na obu dworcach (a także i na wioskowych Chojnach) w ramach istniejącej bryły”.

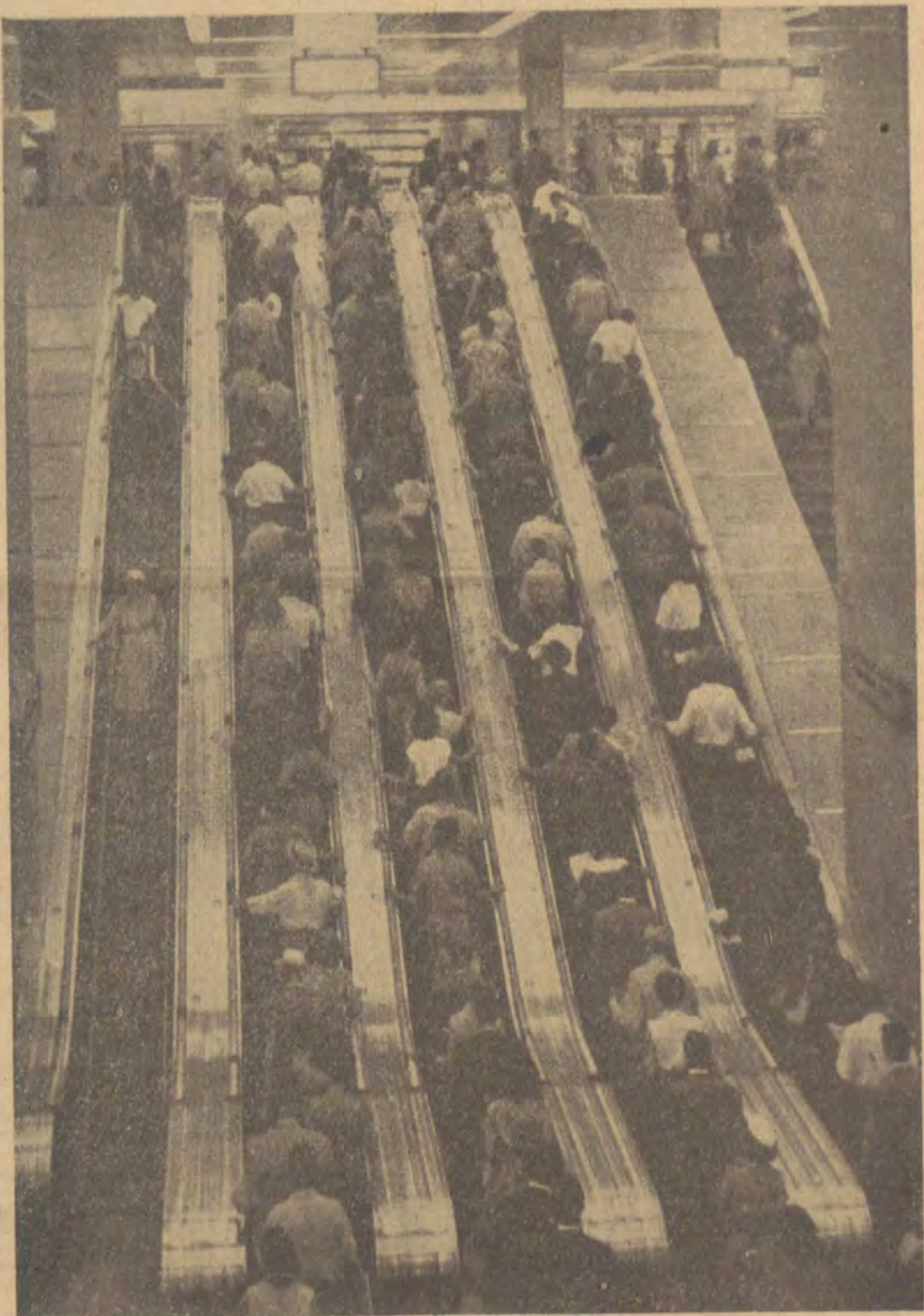
Więc w tych „istniejących bryłach” zaczyna się niedługo roboty: przeniesie się mieszkańców na Fabrycznym lokatorów do innych mieszkań (jest ich tu siedmiu), urządzi się na dole wielki hall, przeniesie gastronomię na pierwsze piętro, ubikacje zlokalizuje w podziemiach. Tam gdzie obecnie restauracja, będzie PKS, gdzie obecny PKS, będą kolejowe kasy i automaty do przechowywania bagażu. Na Kaliskim — również „w ramach istniejącej bryły” — urządzić zostaną dwa podjazdy, obecny — dla ruchu dalekobieżnego i drugi od Towarowej — dla podmiejskiego. Będzie tunel pod torami peronu czwartego aż do Towarowej, rozbięrze się przybudówki na froncie, gastronomię i świetlicę dworcową przeniesie na górę (po przeniesieniu lokatorów do innych mieszkań). Na Chojnach powstanie powłoka kasowy i długi peron między nim a głównym budynkiem, założy się wreszcie kanalizacje, woda będzie doprowadzona do budynku, a na górę pomieści się restauracja.

— A dlaczego tak skromnie? — zapytaliśmy specjalistów.

— Co zrobić, jeśli nie starczyło limitów na nowe obiekty. Ale wie pan, z kapitalnych remontów można znaleźć pieniądze i na marmury...

I tym nas rozbroił.

FELIKS BABOL



LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Ostatni felieton p. J. Brysza „Chciałem dobrze...” opowiada o melodramatycznym losie normalnego dla pewnych sfer tzw. „polowanie na zięcia”. Historia, jakich mamy w życiu tysiące, pod piórem p. Br. przybiera format omal nie „Romeo i Julia” dla ubogich. Przy okazji p. B. „plantuje” rady pedagogiczne dwu liceów, inspektorat i kuratorium, komitet powiatowy partii, słowem pół świata. Wszyscy są głusi, nieporadni, tępi na głos

serca, tylko on, on jeden, dociekał prawdy. Podławszy przeszłość tragedii, terazniejszość smutkiem, z lekka tylko oprószonym drugim ożenkiem, widzi we wszystkich, którzy są przeciw tym niewczesnym amorom — paluby — nie pełnych ludzi.

Tego rodzaju układ rzeczy nie jest u tego autora nowością. We wszystkich wypadkach, kiedy p. Brysz dotyka spraw szkolnych, a czyni to zdaje się jako tzw. „specjalista” dość często — obraz naszej oświaty wypada mizernie, żeby nie powiedzieć, poczwart-

nie. Bierze się to z sublimacji tzw. kompleksu Edypa. O nie — nie idzie tu o mord w stylu antycznym. Jest to — jak powiedział Freud, próba odcięcia się od „związków parających”, czyli od ludzi lub instytucji, którym zawdzięczamy wiele, a nieraz wszystko.

Aby zrzucić z siebie brzemień wdzięczności, wyszukujemy u osób, od których jesteśmy lub byliśmy zależni (w danym wypadku: nauczycieli) tyle i takich dziur, że usprawiedliwiają one utratę szacunku lub zobowiązań grzeszciościowych.

U ludów prymitywnych przejawia się to nawet groteskowo. Np. na wybrzeżu Togo przechwytuje się pewnie dziecko, aż do „iniejacji”, czyli do wprowadzenia do

świata dorosłych, tj. do lat 16. Wtedy dorosłość otrzymuje zasuszoną pewność i pluje na nią tak długo, aż pokryje śliną całą zawartość zawiniątka. Wtedy jest już „wolny i dorosły”.

P. Brysz, podobnie jak to zresztą czyniła przed nim p. Ostrowska, obficie poplucza na szkołę i nauczycieli. Bóg z nim, jak ma w tym przyjemność.

Ale sprawa jest trochę poważniejsza, jeżeli idzie o rodzaje pisarstwa tego obiecującego dziennikarza.

P. Brysz, czy to pisze o opiniach na polittechnikę, czy o przedszkolu, czy o matolkach z Rawy, czy o polowaniu na zięcia — zawsze pokazuje nauczycieli jako twory niedoformowane — paluby.

Prawem dobrym dziennikarza jest pisać i widzieć świat tak, jak mu dyktuje sumienie. Prawem jego jest także krytykować szkołę, bo nie jest ona tabu i nie może korzystać z immunitetu, ale trzeba to robić z rozwagą i zgodnie z prawdą, a nie subiektywnym odczuciem jednej ze stron.

Ten typ pisarstwa, jaki stosuje p. Brysz przypomina prowincjonalną anegdotkę.

W jednym z tzw. „wurst-blatów” pojawiła się notatka, że „połowa urzędników skarbowych kradnie”; oburzony nacelnik wystosował sprostowanie, w którym pisał: „Nie prawdą jest, że połowa urzędników skarbowych kradnie, natomiast prawdą jest, że połowa urzędników skarbowych nie kradnie”. Autor

felietonu w końcu swojego rozważania robi pewne rewansy logiczne, nie wykluczając, że dany jako obiekt teoty potępił ten i ów pedagog może mieć jakieś cechy ludzkie, ale on ich nie miał sposobności w danym wypadku zauważyć. Dla p. Br. jest to zjawisko normalne, bo gdyby to byli ludzie normalni, to postąpiliby tak, jak sobie życzy niedoszła, a może przyszła teściowa i autorka felietonu „Prawdą jest, że połowa...” itd.

Z poważaniem

B. BRZECHALSKI

OD REDAKCJI: Drukujemy list p. Brzechalskiego w imię czeligodnej zasady — audiatu et altera pars.

"NA SIODLE I POD SIODŁEM"

Dalszy ciąg ze str. 1

Na szczęście jednak upadki są zawsze niegroźne. Koń to szlachetne zwierzę i nie kopie leżącego przeciwnika, a takim jeździec, szczególnie niedoświadczony, bywa dość często.

Dla postronnego obserwatora zdumiewająca jest łatwość z jaką koniarze znajdują ze sobą wspólny język. Koński oczywiście. Stare wygi od lat pracujące w stadzie, mające na swym koncie niejedną sukces sportowy potrafią godzinami przesiadywać z zawsze ciekawymi studentami. Pouczają, radzą, opowiadają swoje przygody. Cały dzień nie, tylko koń, na koniu, o koniu, przy koniu. W czasie pasjonującego meczu siatkówki, sportu w Braniewie obok jeździectwa chyba najpopularniejszego, przybiega chłopiec z wieścią, że Grim wpadł do studzienki. Po chwili na boisku nie było już żywej duszy, a przy potłuczonym biedaku krztał się prawie wszyscy pracownicy stad. Przez cały dzień żyją ze sobą w najlepszej zgodzie dwaj rzyjciele, którzy nigdy się sobą nie znudzą — koń i człowiek.

Praca masztalera nie należy do łatwych. Wymaga dużo opanowania, umiejętności podjęcia do zwierzęcia. Poza tym na okres prawie pół roku odciąga go od domu i rodziny. Przebywa w tym czasie z końmi na punktach kopulacyjnych.

Koń, o czym wie prawie każde dziecko,



jest inteligentny, stąd konieczna umiejętność podjęcia, zyskania sobie jego sympatii. Początkujący jeździec wsiada na konia, który ma za sobą wiele zwycięstw w konkursach hippicznych, po czym zaczął dość nieumiejętnie naprowadzać go na przeszkodę. Weteran zdziwiony tymi manewrami zarył się kopytami przed murkiem, obejrzał do tyłu i, wierząc mi, „zaśmiał się”. Potrafił także być pamiętliwy. Nie raz długo nosił w sobie poczucie doznanej krzywdy, by w odpowiednim momencie zrewanżować się celnie wymierzonym kopniakiem. Oczywiście są to wypadki wyjątkowe, bo na ogół jest towarzyski. Często w stadzie widokiem jest koń wyczekujący o stałej porze na przyjście swojego pana, z łbem obróconym do wejścia. Wita go ci-

chym rzeniem, a potem następuje cały rytuał powitalny — „Mój ty biteisiakul! No, nie szczyp. Chcesz jeszcze cukru?” — i ogromne chłopisko całuje po chrapach, pieści swego Rosynanta.

Codzienna przejażdżka po ujeżdżalni, choć może nieco monotonna, urozmaicona jest jednak współzawodnictwem. Kto mniej razy spadnie.

— Panie koniuszy, niech pan coś wreszcie zrobi, żeby Agromon zleciał. Przecież ten facet nam żyć nie daje.

Zaczyna się nagonka na twardego kolegę. Dwudziestu ludzi prześluguje się w pomysłach, aż koń zmydlił się cały. Nie spęł. Pot leje się z niego strumieniami, a usmiecha się zadowolony, że utrzymał swoją sławę. Jeszcze raz im się nie udało.

— Czekać, jutro ja was postraszę. — Nie postraszył. Zanepokojony dyrektor zarządził zbiorowe mycie głów. — Musicie przecież zdać sobie sprawę, że takie figle są niebezpieczne. Nie zdąży wyciągnąć nogi ze strzemienia i dopiero będzie kłopot.

Oczywiście miał rację. Trzeba być ostrożnym. Dziewczyna, która zbyt zaufała swoim umiejętnościom, zabiła na siedzeniu idealny odcisk kopyta. Skończyło się na placu i odrobinie strachu. Po dwóch dniach znów galopowała po bieżni. Tym razem powniej. Płochliwy Asing dostał po pysku, a potem podwójną porcję cukru — „Przebież to nie jego wina. Gdybym siedziała po ludzku...”

Koń ma swoje święta. Każdy czwartek na przykład jest w stadzie „dniem konia”. Poza swobodną przechadzką dla odprężenia nie męczy się go innymi zadaniami, tylko czyści i szczotkuje na wysoki połysk. „Wielki dzień konia” przypada raz do roku przeważnie pod koniec lipca. Jest to jednak smutne święto. Odbija się przeprowadzone przez specjalną komisję brakowanie. Sztuki stare, nie spełniające swych zadań jako reproduktory, lub chore, wysyła się na rzeź. Nie tylko ludzie są wtedy smutni, że trzeba będzie rozstać się z ulubieńcem. Także konie już na dzień wcześniej zaczynają zdradzać objawy podrażnienia i zaniepokojenia. Potem, kiedy decyzja zapada, przychodzi apatia. Biedak stoi ze zwieszonym łbem w bok, nie dopóki nie nadejdzie chwila odjazdu. Widziałem w tym czasie studentkę doremnie lykającą łzy przy boksie Czupurnego. Dopiero pod koniec swej ostatniej podróży koń budzi się z odrętwienia. Zaczyna bronić się, a konwojent walczy z nim, sam często ze łzami w oczach.

Powoli jednak codzienne życie zacieria smutek. Jak zwykle czas goi rany, wciąga zwykły dzień pracy w stadzie. Student, który przyjechał do Braniewa, by zakończyć przyjemność jeździectwa, codziennie od godziny 8 rano ćwiczy na ujeżdżalni. Stopniowo powiększa się ilość ustawianych przeszkód. Rosną stawiane przez instruktora wymagania. Czasem jeździec zaczyna mieć dosyć i najchętniej zsiadby z konia, ale ambicja nie pozwala — „Mam być gorszy od innych? Przecież nawet babki skaczą”. — Dopiero po dwugodzinnej jeździe odpoczynek staje się słodki, a czekanie konia wielką przyjemnością. Nowa porcja cukru zmienia właściciela, a na pie-

szczyty, którymi się obsypują koń i jeździec, obaj zapracowali solidnie. Po południu spacer do miasta. O ile pogoda dopisze, można popływać w basenie. Przeważnie nie dopisze, ale samo miasto też dostarcza wielu atrakcji. Spacer nad rzekę, do ruin krzyżackiej katedry z XV wieku, kawiarnia, kino, w ostateczności księgarnia i niekończące się rozmowy. O czym? Oczywiście o koniach. Wspólnie analizują przyczyny czyjegoś upadku, chwala sukcesami, tematu nigdy nie zabraknie. Na koniec, przed snem, jeszcze jeden wypad do stajni by ulubieńcowi powiedzieć dobranoc i wpakować do pyska ostatnią kostkę cukru.

Różne są sposoby spędzania czasu. Organizowane od czterech lat przez ZSP „wczasy w siodle” należą chyba do najprzyjemniejszych. Przez trzy tygodnie zmęczona młodzież odpoczywa w innych warunkach, zdobywa nowe umiejętności. Nie bez znaczenia jest także fakt, że na pewno od-

świeża trochę nasze jeździectwo. Człowiek, który poznał i docenił przyjemność jazdy konnej, na pewno do niej wróci. Niektórzy raz jeszcze pojadą na takie wczasy, inni prywatnie nawiążą kontakty ze stajdami, jeszcze inni stuknąć będą do drzwi klubów jeździeckich. W Warszawie powstał Studencki Klub Jeździecki. Warto chyba i u nas pomyśleć, jeśli nie o utworzeniu podobnego, to o większym udostępnieniu braci studenckiej łagiewnickich stajen. Na efekty na pewno nie będziemy czekać długo. Poza tym, przyjemną tradycją mogłyby być organizowane powiadzmy co miesiąc konne spacery pod Łodzią.

Jeden turnus w Braniewie przysporzył jeździectwu piętnastu miłośników. Odjeżdżając zapowiadali swój powrót w przyszłym roku. Tutaj, lub do innych stad. Młodzi zapaleńcy znaleźli swego „konia”, może życiowe hobby.

LESZEK ST. RUDNICKI



JAN BABIŃSKI

Dzień bez bedekera

— Znowu pan?

Wsparłem się na parasolu, przenosząc ciężar ciała na prawą nogę. Lewa była wysunięta nonszalancko do przodu.

— Czego pan tu szuka? — Potwórzyła gospodyni trochę łagodniej.

— Mam nadzieję, że zastałem miś Barbarę — odpowiedziałem.

— Nie ma jej, nie wiem kiedy wróci, może nad ranem...

Co za pech, straciłem znów pół dnia. Gdzie się włożyła ta diabla, ta Barbara? Co porabia? Wściekły ruszyłem do metra. Po piętnastu minutach wyładowałem na Baker Street. Przy tej właśnie ulicy, w jednym z ponurych domów o kolorze zwirotej cegły, tworzył swe zadziwiające dzieła nie było kto. Sam Conan Doyle. Niech mu ziemia lekka będzie. Nie chciałbym tu mieszkać. To nie ulica lecz wawóz obudowany ka mieniem, cegła i cementem. Na dobra sprawę, całe londyńskie City składa się z labiryntu takich ulic, a nie innych. Jedna jest podobna do drugiej jak dwie krople wody.

Wicie co dalej? Do wyjazdu pozostało jeszcze kilka dni. Skoczyć jeszcze raz do Tower'u? Diabli z nim. To taki angielski Wawel. Wielokrotnie jednak większy. Zamieszkuje go 1000 lat, a wygląda jak nowe.

Nierealne to. Pachnie teatralną albo filmową makieta. Szwindłem pachnie. Szwindłem jednak nie jest. To autentyczny. Prześwietlony Tower, który był królewską siedzibą, twierdzą, także więzieniem, jest nieprawdopodobnie wypucowany. Nigdzie szczeliny, nigdzie zacięku. Dbają tu o zabytki, szorują je, szlifują, gładzą. I pokazują cudzoziemcom. Gapię się. Ale w pierwej portfel, jeśli taska...

Wreszcie Oxford-Street. Jeszcze potężny łuk i znalazłem się na Piccadilly-Circus.

W jedną z bocznych uliczek przy tym placu wpadł ze świstem podłużny, piekielnie szybki „Jaguar”.

Z okienka samochodu wyjrzał dryblas w czarnym meloniku i oddał dwa strzały z pistoletu do idącego obok mnie młodzieńca.

Młodzieniec runął na chodnik jak rażony gromem.

„Jaguar” dodał gazu i niczym rakietą przysnął do rogu. Zrobiło mi się słabo. Rany boskie. Mord! W oka mgnieniu zebrał się gesty tłum. Jakaś Amerykanka zaczęła histerycznie krzyżeć. Powiało grozą. Wtem tuż obok zatrzymał się mikroskopijny „Morris”. Z wozu wysiadł bardzo młody, bardzo przystojny i bardzo opanowany człowiek. Zbliżył się do ofiary krokiem energicznym, wyprostowany jak gwardzista sprzed Buckingham Palace.

— Jestem lekarzem — oznajmił sucho. — Proszę pomóc wnieść tego człowieka do auta.

„Morris” odjechał, unosząc młodzieńca, który nie dawał już znak życia. Co za po-

tworne zabójstwo. W biały dzień. W centrum Londynu. Teraz dopiero wyrósł przed nami wysoki policjant. Nie spiesząc się wyciągnął notes i bez większego zainteresowania zadał parę pytań. Wśród dużej grupy amerykańskich turystów zapanowała konsternacja. Co za kraj. Co za obyczaje. Nawet w Teksasie jest bezpieczniej. A powiada, że „Old England” jest nie tylko matką parlamentów, ale też rajem jednostki, jedynym miejscem, w którym warto zamieszkać na stałe.

Miałem widocznie też głupią minę, gdyż podszedł do mnie jakiś student w dżinsach.

Zdziwiłem się. Czyżby mnie wziął za Irlandczyka?

Anglicy interesują się tylko dwoma nacjami. Irlandczykami i Francuzami. Na Irlandczyków spoglądają z pobłażaniem, na Francuzów z zaciekawieniem. Anglik nie obejrzy się na ulicy nigdy za żadną kobietą. Chyba, że to Francuzka. Wtedy mało sobie szty nie zwiechnie. Zauważyłem nie raz, że dostojni dżentelmeni w Regent-Park na dźwięk francuszczyzny momentalnie zmieniają się na twarze. Nastawiali ucha i tak długo wodzili wzrokiem za szezebioczącymi l'ecallistkami z Paryża, póki te nie zniknęły z pola widzenia. Spośród wszystkich języków, Anglicy rozróżniają dobrze tylko język francuski.

— Dobra robota, prawda? — zagadnął student.

— Co proszę? — zdumiałem się.

— To robota bitników — wyjaśnił. — Jak im się porządnie nudzi, to robią różne takie kawały. Jesteś z kontynentu, nieprawda? Od razu się domyśliłem. Powinieneś wiedzieć, że ten gość w aucie strzelał ze straszaka. Ten drugi, na chodniku, był podstawiony. Udawał trupa. Trzeci, też umówiony, grał lekarza. Wywalił i gdzieś tam pękają ze śmiechu. Ale to stary kawał. Bitniki nie znoszą nudów. A ty co byś robił w Londynie, kiedy nie można już

niczego wyrabiać z czarnuchami w Afryce, ani z tymi przeklętymi żółtkami? Młogio. A wyżyć trzeba się jakoś. No nie?

Student przyjrzał mi się uważnie.

— W Nudzie Cinema już byłeś?

— Zaprzeczyłem.

— No to jazda, obejrzymy sobie kilka takich numerów.

Nudzie Cinema to nieprawdopodobna dziura obok Piccadilly-Circus. Każdy wchodzi do środka kiedy zechce i rozwala się na starzych, piekielnie skrzypiących krzesłach. Siedzi długi film, w którym właściwie nie się nie dzieje. Zadnego wątku, żadnej akcji. Nic. To jedynie, że ładnie zbudowane dziewczęta co rusz to się ubierają albo rozbierają. Do figowego listka. I tak w kółko. Do znużenia. W końcu miałem tego wszystkiego po uszy. Jak długo można u licha na to patrzeć?

— Jestem Max — szepnął mi na ucho student.

Potem dodał: — Program jakiś słaby dzisiaj. Czy wiesz dlaczego te jałówki nawet nie ruszą kopytem, tylko stoją jak te boginie w British Museum?

Nie wiedziałem.

— Dlatego, że kobieta naga nie może zrobić kroku. Ma stać w miejscu. Bez żadnego ruchu. Inaczej jest obraza moralności, sąd, kara i tak dalej, same nieprzyjemne rzeczy. Takie u nas prawa. Nie ma co gadać. Już weselej jest w „Bahama-Club”.

Rzeczywiście dom, do którego trafiłem był szczególnego rodzaju.

Inna sprawa, że w City widziałem podobne kluby. Wpuszczano do nich tylko stałych klientów za kartami wstępu. Przy drzwiach opatrzonych dyskretnymi tabliczkami z miedzią tkwiły masywne, zbudowane cerberzy o szczękach zawodowych bokserów. Klub do którego mnie zaprowadził Max, znajdował się wszakże w typowej dzielnicy mieszkaniowej. Jak okiem sięgnąć wszędzie ciągnęły się dwa rzędy domów nakrywanych kształcie dwupiętrowych jed-

PECUNIA NON OLET

Pierwszym uroczystym aktem jakiegoś dokonywania na każde stanowisko w kurii rzymskiej, centralnym kierowniczym organie kościoła katolickiego, jest złożenie przysięgi o zachowaniu bezwzględnej tajemnicy. Tajemnica zaś obejmuje wszystko, co ma jakikolwiek związek z działalnością tej instytucji. Jeżeli do tych obowiązujących zasad dodać jeszcze, iż wśród osób prowadzących operacje finansowe, mileżenie jest niejako profesjonalnym obowiązkiem, to nieludnie zrozumieć, że ustalenie bogactw Watykanu nie jest łatwe, tym bardziej, iż chodzi tu o miliardy funtów szterlingów.

Najostrożniej licząc, Watykan jest najbogatszym w świecie posiadaczem akcji, dysponując portfelem papierów wartościowych na sumę ponad dwóch miliardów funtów szterlingów (ok. 5,6 miliardów dolarów). Jest więc Watykan międzynarodową potęgą finansową. Dla przykładu: aktywa Watykanu są równoważone w wartościowym zapasem złota i waluty zagranicznej Francji. Oceny te są ledwie przybliżone. Nie uwzględniają one niezliczonych nieruchomości Watykanu, rozsiadanych po krajach wszystkich kontynentów, poczynając od posiadłości ziemskich i domów, a kończąc na kolekcjach wybitnych dzieł sztuki, bez wliczenia najbogatszych w świecie, jeżeli nie te i inne „konkrety” nieruchomości udało się choć w przybliżeniu oszacować, ogólna suma bogactw Watykanu sięgnęłaby grubo ponad dwa miliardy funtów. Ogromne majątki w krajach europejskich i obu Amerykach przeszły na własność Watykanu drogą wieloletniego przedawnienia aktów dziedzicznych, darowizny, w szczególności zapisy w testamentach. Tych majątków nie należy mieszać z często jeszcze większą własnością, która należy do nieprzeliczonych instytucji kościelnych — episkopatów, klasztorów, misji, uczelni itp.

Majątkiem nieruchomym zarządza specjalny organ pn.: „Administracja dóbr świętego tronu”. Został on powołany do życia w r. 1878, zaraz po tym, gdy w wyniku utraty Rzymu i państwa papieskiego Watykan doznał dokładych strat materialnych. Jednakże działając bardzo energicznie, częściowo przez pośredników, żeby łatwiej ominąć antykatolickie ustawy włoskiego rządu „uzurpatora”, Watykan bardzo szybko zgromadził

ogromne bogactwa. Przede wszystkim umiejętnie wykorzystał wzrost cen na ziemię, związany z gwałtowną rozbudową Rzymu. Jego zaufani ludzie, już w niedługim czasie, zdobyli wielkie woiwy (turzy)wały się do dziś w licznych przedsiębiorstwach, związanych z rozwojem gospodarki komunalnej miasta: w towarzystwach finansowych, bankach towarzyszących do handlu nieruchomością, w przedsiębiorstwach gazownictwa i tramwajów, elektrowni itp. Tylko w bardzo nielicznych wypadkach Watykan bezpośrednio kontroluje te przedsiębiorstwa; za zasady po prostu zarządza pakietami akcji.

Gdy Pius XI wyraził zgodę na uregulowanie „kwestii rzymskiej” z ówczesnym rządem włoskim, stolica apostołska już wtedy dysponowała dużym potencjałem ekonomicznym, którego źródła znajdowały się przede wszystkim we

Włoszech. W r. 1929, jako odškodowanie za ostateczną utratę wszelkich praw do państwa papieskiego, rząd włoski wypłacił Watykanowi ogromną sumę 750 milionów lirów w gotówce i miliard lirów w papierach wartościowych (ogółem, w kursu z roku 1929 ok. 19 milionów funtów szterlingów). Do zarządzania tym kolosalnym majątkiem papież Pius XI powołał osobny organ pn.: „Specjalna administracja”. Jej przewodniczącym został jeden z najbogatszych włoskich finansistów owego czasu, Bernardino Nogara. „Administracja” rozpoczęła swe operacje od planowanego rozmieszczenia kapitałów inwestycyjnych w różnych krajach świata. Oczywiście jej pozycja była jedyną w swoim rodzaju: nie podlegała ona ani parlamentowi, ani gabinetowi ministrów, ani zgromadzeniu akcjonariuszy. Na terytorium Watykanu, rzecz jasna, nie płacono żadnych podatków, nie obowiązywały „ucieczki kapitałów”. Wysoce ustosunkowana, jest świetnie zorientowana w najważniejszych wydarzeniach ekonomicznych, które mogą mieć jakiś wpływ na ogólną sytuację finansową w skali całego świata.

Następca Nogary, który aktualnie kieruje finansową polityką Watykanu, 81-letni kardynał Alberto di Jorio, zerunował wokół siebie prawdziwy trust mózgów, złożony

z wybitnych ekspertów finansowych. Szczególną znajomością rzeczy wyróżniają się spośród nich — Włoch, Luigi Mennini oraz Szwajcar, Henri d. Maivardo. Ogromne kapitały, którymi rządzi kardynał di Jorio, rozmieszczone w licznych bankach Europy i Ameryki, a w szczególności w Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. W szwajcarskich bankach przechowywane są watykańskie zapasy złota. Watykan jest stałym klientem banku Rotszyldów (we Francji), braci Chamroz i Samuela Montegui (w Anglii), grupy Morgana (w USA) i innych, żeby wliczyć tylko największe. „Administracja” troszczy się o rozmieszczenie watykańskich kapitałów w różnych „naładowanych” miejscach. I tak na przykład, w pierwszych latach po wojnie, pierwsze inwestycje w tym względzie miały Kanada i Stany Zjednoczone. Później, obrotni pełnomocnicy Watykanu zdecydowali się na zgola frywolne lokaty papieskich kapitałów — w kasynach gry w San-Re-mo, czy w lokalach rozrywkowych. Powojenne, polityczne ukształtowanie Europy spowodowało przesunięcie wielkich kapitałów Watykanu do Hiszpanii, Włoch i NRF.

Głównym instrumentem w realizowaniu przeróżnych operacji finansowych Watykanu był „Instytut do spraw religijnych”, powołany do życia w r. 1942, przez papieża Piusa XII.

Stworzony w okresie wojennej potrzeby i zamętu, odegrał rolę banku, pozwalając na przelewy pieniężne poprzez zamknięte granice. Te wojenne operacje obcą walutą przyniosły krociowe zyski.

Takie są główne (ale bynajmniej nie jedne) instrumenty, przy pomocy których Watykan realizuje swoją politykę ekonomiczno-finansową. Za nią, oczywiście, krwie się polityka we właściwym tego słowa znaczeniu.

Choć kardynał di Jorio ponosi główną odpowiedzialność, to jednak obowiązki koordynacji prac administracji finansowej spoczywają na barkach kardynała Hamleto Chiconiani, sekretarza stanu w Watykanie. To właśnie on prowadzi teraz intensywnie rozmowy z rządem włoskim o zwolnienie Watykanu od podatków za dywidendy. Historia tego sporu sięga końca 1962 roku, kiedy to kierownictwo centrów w ówczesnym rządzie włoskim wprowadziło podatki od dywidend, podobnie jak to jest w większości innych krajów. Podatek obejmował wszystkie posiadaczy akcji, które zarejestrowano na rynku zarówno Włochów, jak i cudzoziemców. Jednakże jeden z paragrafów ustawy przewidywał zwolnienie od podatku obywateli niektórych obcych państw na zasadzie dwustronnej umowy. I oto Watykan wystąpił do rządu włoskiego z propozycją zawarcia takiego porozumienia, powołując się na traktat laterański z r. 1929. Dla Watykanu ustanowiono na nim, m. in. osobny status, uznając go praktycznie za jedynego źródła pomocy materialnej dla biedoty rzymskiej i zwolniono od obowiązku płacenia podatków.

Po długich debatach rząd skierował poufny okólnik do wszystkich kompanii włoskich, w których Watykan miał swoje udziały, zwołując Citta del Vaticano od podatków za wypłacane mu dywidendy. Jednakże podczas kolejnej zmiany rządu tę kwestię ministra finansów objął socjalista i ów poufny okólnik został ujawniony.

Dzisiejszy rząd włoski dość przychylnie odnosi się do roszczeń Watykanu, niemniej wyłoniła się pewna trudność, w doprowadzeniu sprawy do końca: rząd obawia się precedensu, który z czasem umożliwiłby od podatków od dywidend wielu włoskich kapitalistów. Nie tak znów trudno wśród watykańskich papierów wartościowych ukryć akcje, należące do innych posiadaczy. Istnieje jednak i drugi powód do niepokoju. Rozpatrując rzecz teoretycznie, Watykan mógłby zepchnąć ekonomikę włoską w otchłań, gdyby tak na przykład pewnego pięknego dnia pozbył się wszystkich swoich akcji i rzucił je na rynki światowe.

Taka jest sytuacja w obecnej chwili. Rząd próbuje odwlec decyzję, a Watykan, jak zwykle, nie nagli. Obie strony mają nadzieję, że czas, wcześniej czy później, sam doprowadzi do kompromisu.



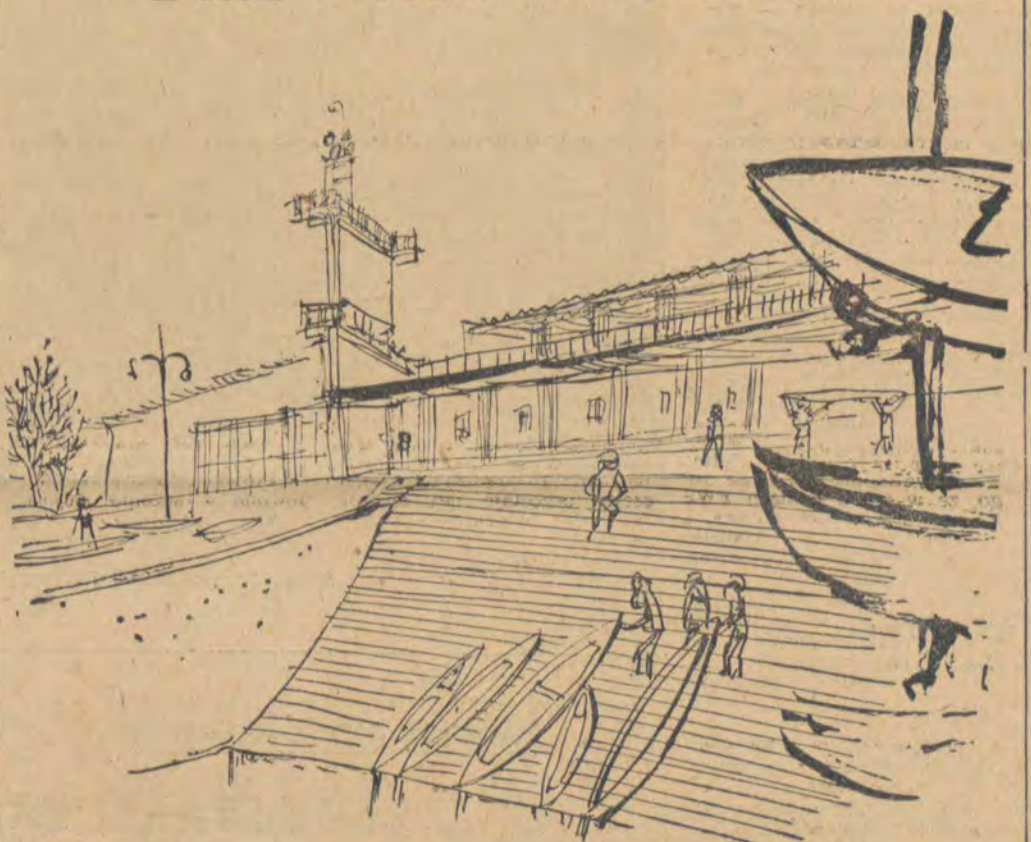
DR
SEMMELEWEIS

Ignac Filíp Semmelweis, węgierski uczonec, miał z polecenia ojca studiować we Wiedniu prawo. Młody student wybrał jednak wydział medyczny i w 1844 roku otrzymał dyplom lekarski. Jako asystent w wiedeńskiej klinice położniczej zwrócił uwagę na wysoką śmiertelność kobiet, której przyczyną była gorączka pociągowa. W innych szpitalach w Europie, w Paryżu czy w Londynie, śmiertelność z powodu zakażenia pociągowego również sięgała w wypadkach tajemniczej epidemii od 20 proc. do 30 proc.

W czasie sekcji stwierdzał dr Semmelweis, że zapalenie ropne zapalenie macicy, zapalenie otrzewnej i zakażenia. Gdzie tkwiło źródło tych schorzeń? Po powrocie z urlopu, 20 marca 1847 roku, dowiedział się Semmelweis o śmierci prof. medycyny sądowej Kolletschki, który skłócił się w czasie sekcji, na skutek czego nastąpiło zakażenie jadem trującym. Semmelweis znalazł odpowiedź na pytania, które sobie stawiał. Przyczyną schorzeń u kobiet rodzących były zarażki przenoszone rękami lekarzy i asystentów. Po długich walkach z konserwatywnym dyrektorem kliniki wiedeńskiej udało się Semmelweisowi przeprowadzić wydanie zarządzenia, nakazującego umieszczenie przed drzwiami sal położniczych miednic ze środkami odkażającymi. Lekarze i asystenci musieli przed wejściem na salę myć ręce w płynie dezynfekcyjnym.

I oto od połowy maja 1847 r. ilość wypadków śmiertelnych u położnic spadła do 3 proc. Takich wyników nigdy jeszcze w klinice nie osiągnęto. Był to początek wielkich przemian i doświadczeń w dziedzinie antyseptyki, które później kontynuował wielki Ludwik Pasteur. Ale pamiętajmy i o tym, który zapoczątkował to badanie i uratował dziesiątki tysięcy młodych matek przed śmiercią. Z inicjatywą UNESCO został miesiąc sierpień 1965 poświęcony pamięci zasłużonego uczonego węgierskiego dra Ignaca Semmelweisa.

Z teki WACŁAWA KONDKA



Sieradz — Ośrodek Sportów Wodnych

— Stać — ryknął. — Ani kroku...

Jak na komendę pogąsły nagle wszystkie światła i zrobił się niesamowity zamęt.

— Chodź! — wrzasnął Max.

Wydał się nam na świeże powietrze w samą porę, tonąc od razu w gęstej, żółtej niemal lepkiej mgłę. Nie dziwi się, że to miasto kryje tylu większych i mniejszych przestępców. Za taką mgłą schowa się nawet niebotyczny pomnik Nelsona na Trafalgar Square, a co dopiero człowiek.

Max zaklął:

— Ktoś musiał sypnąć i tajniacy zrobili zasadzkę. To pewnie te dziwki z kontynentu. Przepraszam, ale one naprawdę nie umieją cicho pracować. Za dużo papla. Charles powinien być już dawno zwolniony. Teraz zapłaci kilkadziesiąt funtów grzywny za publiczne zgorszenie. Dobrze mu tak. Ta świnka okrada mnie od roku. Placi za „stuff” poniżej ceny. Wstąpimy po drodze gdzieś indziej. Zgoda?

Podziękowałem.

Max gwizdnął i rozplynął się w mgłę. Skoro świt wybrałem się ponownie do domu, w którym przebywała Barbara. Ranne wstał pogodny, bezwietrzny, jak na Londyn bardzo ciepły. Musiałem to załatwić. W Londzi dano mi adres. Proszono. Zobacz no, co się dzieje z Barbarą. Czemu nie pisze? Co ona wyrabia? Bardzo prosimy, załatw to. Dlaczego ona nie wraca? Zagmatwana jakaś historia. Czemu tej dziewczyny nigdy nie ma w domu? Przed rokiem, kiedy widziałem ją po raz ostatni, była dobrze ubraną panienką. Czyżby zmieniła się w Londynie? Co jej strzeliło do głowy?

Gospodyni przyjęła mnie łodowato. — Pan się spóźnił, młody człowieku. Barbara przeprowadziła się dziś rano do jakiegoś hotelu.

Szukaj mrówki w mrowisku. Londyn to mrowisko. Na każdej ulicy po kilkadziesiąt hoteli, domów noclegowych,

hotelików i przytułków. Prawde jednak mówiąc, odetchnąłem. Nareszcie mam wytłumaczenie. Powiem w Londzi — Proszę wybaczyć, ale ona gdzieś się wyniosła. Barbary nie mogłem odszukać... Dość już nalałem się za tą dziewczyną, widocznie jest podsyta wiatrem. Bóg z nią.

I raptem w to wszystko wplątał się jeszcze ten reportaż.

Ze szpalit popołudniówki spoglądały na mnie oczy niezwykle przystojnej dziewczyny.

— Kto zna tę dziewczynę — pytał reporter. Młoda, śliczna lady, która miała w portfelu same dziesięciofuntówki. Przybyła do hotelu przy Bind-Street nie wiadomo skąd. Nie miała żadnych dokumentów przy sobie. Niczego nie znalazłem, co by mogło wytłumaczyć kim była. Ta wykształcona lady, która mówiła doskonałym akcentem, chciała prawdopodobnie umrzeć w samotności. Jako ktoś całkowicie obcy, nieznaną, przypadkową. To się jej udało. Ale co kryje się za tym wszystkim? Czyja tragedia? Kto z czytelników pomoże nam w rozwikłaniu tajemnicy?

Bez chwili zwłoki pojechałem do hotelu takśkwa.

Zwłoki dziewczyny wynoszono akurat do łaretki.

Półprzytomny, nie wiedząc co robię, rzuciłem się w pierwszym odruchu do noszy. Nim ktokolwiek zdążył mi w tym przeszkodzić, odchyliłem szarą i długą jak przesłonięte narzutę. Co za ulga. Spadł mi kamień z serca. Nie, to nie była twarz Barbary. Inny nos, inne usta, inny zarys policzka. Orientalny. Wtem jak spod ziemi wyrósł przede mną policjant. Stuknął mnie koniuszkiem palca w ramię.

— Pan coś wie o tej dziewczynie? — zapytał, wpatrując się we mnie z takim wyrazem, jakby ujrzał kogoś, kogo się właśnie tutaj spodziewał.

— Ależ nie — zaprzeczyłem. Ja tylko tak, z ciekawości...

Napatoczył się portier. Machnął ręką na oddalającego się policjanta.

— Pan kogoś szuka — zapytał z miną człowieka, który za kilka szylingów gotów jest sprzedać własną duszę.

— Jak się nazywała ta dziewczyna? — bąknąłem, żeby wyjść z honorem z całej tej historii.

Portier mrugnął porozumiewawczo:

— Ha, ha dobre pytanie. Któż to może wiedzieć. Wpisła się do księgi jako miss Cooper, ale równie dobrze mogła się wpisać jako miss Looper. Przyjeżdżają do nas z różnych stron świata. I każdy zatrzymuje się w tym hotelu pod zmyślnym nazwiskiem. Przecież pan wie jakie u nas prawa. Prywatne życie rzecz nietykalna. Wczoraj wpisało się dwóch Churchillów i jeden Roosevelt. Ich sprawa. My tu za wszystkich żyjemy w spokoju. Byłe zapłacił rachunek i dał przyzwoity napiwek. Tu jest Londyn. — London all the bloody world!

Stojący na rogu policjant wpatrywał się we mnie z takim napięciem, że zdrewniałem. Może to złudzenie? Może byłem przeobrażony, przeczulony i po prostu nerwy zaczęły zawodzić? Stanowczo lepiej jeszcze raz odwieźć się do Tower niż wszystkie te spełny i zakazane dla niewtajemniczonych rewiry tej potwornej wielkiej metropolii. Lekko odwróciłem głowę. Wydawało się, że w tym momencie policjant kiwnął na mnie palcem. Tego tylko brakowało. Skoczyłem do pierwszego z brzegu taksówki. Tego samego dnia odleciałem do kraju.

Co z Barbarą?

Nie mam pojęcia. Tak sobie jednak myślę, że jeśli kto będzie w Londynie, niech już lepiej zawierzy bedekerom. Niech już lepiej trzyma się utartych, turystycznych szlaków. Niech zacznie od Tower'u i skończy na Westminster-Abbey. Bezpieczniej tak.

JAN BABIŃSKI

DWA OPOWIADANIA

NIE MA ANNY

— Pani Pawlakowa, jak pani nie uspokoi Jureczka, to mu dam w mordę.
Zapadł w sen.

— Która to może być godzina? — powiedział. Dotknął stopami podłogi, podszedł do okna i zamknął je. Wziął zegarek, zauważył, że nie chodzi. Przekreślił radio. Rozsunął story. Dach jak posmarowany tłuszczem. Na drzewie, w połowie uschłym, siedzą wrony. Gniazdo między gałęziami jest puste. Na patkach leżą czarne pióra. W radio coś trzasnęło. Przesunął kreskę na muzykę. Z rozdartej paczki wygarnął papierosa, spłaszczyl go. Do wargi przylgnął paproch. Przeniósł go na zęby i zgryzł. W ustach poczuł szczypiącą gorzkość. Wszystko jest na swoim miejscu. Zgniecione niedopalki są na swoim miejscu, otwarty zeszyt z podkreślonymi zdaniem, krzesło jest na swoim miejscu. Nie się nie poruszyło. Wziął wazon. Wodzi palcem po ostrych wcięciach: szkielec ryby, teraz kostka jezdni, teraz rana. Układa w niej palec. Kryształ wypada z ręki. Zadzwoń do ości. Jeśli nie wezmę mioty i nie zmiotę szkła, to ono jutro też będzie na swoim miejscu. Gdybym opuścił pokój i wrócił do niego za pięćdziesiąt lat, kawałek szkła w kształcie grotu będzie ta kramo wycelowany. Nie się nie poruszy. Wszystko będzie trwało.

Nim odeszła, powiedział: nie będę mógł bez ciebie żyć. Ale odeszła. Klamka wróciła do poziomej pozycji. Kroki oddalały się pewnie. Trzasnęły drzwi. Już wtedy spostrzegł, że nie się nie zmieniło. Wyglądało tak, jakby miała wrócić, albo ściślej, jakby miała za chwilę wejść. Przebiega próg, rzuca torebkę, przylega do niego, całują się, odrywając usta, chwytają powietrze i znowu idą pod wodę. Woda jest zielona w różowe pręgi. Wraca na brzeg, dyszą.

W czystym niebie rusza się czarna plama. Drży gałąź. Jestem odarty jak ten mur naprzeciwko. Czy szyba była wczoraj pęknięta. Niemożliwe, żeby szyba była wczoraj pęknięta. Pękła, gdy trzasnęła drzwiami. Gniazdo też pęknięte, pióro w gnieździe, popielate gałązki, nie ma gniazda. Ogień doszedł do skóry. Przypiekl. Uniósł niedopalek do stołu. Zduł w popielniczkę.

Słońce żarzy się jak rozpalone kęgi. Szum morza. W piasku nogi jej i jego. Fala liźnęła piasek, weszła na przesyby, z kostek ściekają kropki. Na piasku jest ciemno, jakby ktoś podszedł i rzucił cień. Na kamieniach pieni się sól. Piasek wysysa wodę jak bibuła. Przeszech, ale zaraz sunie fala wyższa. Odnajduje jego dłoń i mocno wbija w nią paznokcie. Mają ją przed oczami, jest jak roztopione szkło. Schodzi po nich z rykiem. Koniec zabawy.

Idą wzdłuż morza. Ona ma mokre włosy. Porusza głową jak żreback. Na ramionach lśnią kropki. Pokazuje na wodę i mówi: morze to jest ogromna ręka pełna wody. Powiedzenie jest ładne, powtarza je i całuje ją w słone usta. Wyrwa się. Biegnie. W piasku zostawia ślady stóp. Korytarzami wdiera się woda. Patrzy na nią i mówi w stronę huczącego morza: Boże, jaka ona jest piękna. Boże, spraw, żeby zawsze była przy mnie. Jest daleko. Zaczekaj. Jest mała jak mewa. Zaczekaj. Jest ziarenkiem piasku. Fala wgarnęła się na brzeg. Nie ma Anny.

— Która to godzina — powiedział po raz drugi. — Spałem jak kamień. Odeszła, a ja spałem jak kamień.

Stanął przed lustrem. Widzi wypoczętą twarz. Twarz jest lustrem. To nieprawda. Jego twarz nie jest lustrem, nieżyja twarz nie może być lustrem, skorupa chochoły. Te rysy były takie same, gdy była przy nim. Noc nie w tej twarzy nie zmieniła. Anna odeszła. Nie ma Anny.

Twarz zebrała ten fakt, obeszła jak gąbka, jest gotowa do wchłonięcia nowej porcji wilgoci. Przekreślił klucz Zeszedł po schodach.

W bramie trzymając się za poręczek, płacze Jureczek Pawlak.



Stasys Krasauskas. — Drewnoryt

DO JUTRZENKI PATRZĘ

Głosy przybliżają się, uderzają w białą deskę i spadają na podłogę. Brzęczą klucze zawieszane na metalowym pręcie. Wkładają klucze do zamków od razu i pewnie, skrobą wokół i po uciążliwym krążeniu przekreślają. Zamki trzeszczą jakby było w nich pełno piasku i kanciastych kamyczków.

Przechodzą obok moich drzwi. Gdy na nie patrzą, widzą: popękana brudna plaszczyna z cyfrą w pośrodku. Cyfra jest brązowa i przypomina wbity w ścianę hak. Za tą cyfrą mieszkam. Jestem obcym mężczyzną w sile wieku, z włosom przystyżonym krótko, szczeszanym na bok, z głową u nasady nieco szerszą, z wyrzającymi się w głąb mierzającymi łysiny. Może przypominają sobie ubiór ponoszony tłustymi plamami.

Leżę w łóżku. Palec papierosa. Za warstwami dymu jest sufit. Sufit układa się w twarz kobiety z recepcji. Kobieta wyrastała włosy rzadkie i siwe, teraz włosy wiążą się w gałki oczne, przezroczyście jak u martwej ryby.

Przechodzą obok moich drzwi. Śmiech potrząsnął ciszą. Uderzył w ścianę. Roztrząsał się. Co oni o mnie myślą. Powinienem wstać i stracić popiół. Jeżeli tego nie uczynię, upadnie w czystą pościel. Może jestem im zupełnie obojętny. Jestem kimś, kto przyjechał załatwić pewne sprawy i nie muszą o mnie nawet wiedzieć, że istnieję za tymi drzwiami z brązową cyfrą. Oni też po to przyjechali. Z popiołu wyrastają gałęzie dymu. Zaraz spadnie. Szkoda pościeli. Chociaż wcale nie jest taka czysta.

Co oni teraz robią w swoich pokojach. Ci, którzy przyprowadzili kobiety, są na pewno podnieceni. Kraja jak mysz przy kwatki słoniny. Nie wiedzą jak to zacząć. Podrzucają krzesło. Patrzą w lustro. Po-

czesują włosy, a przecież ich przedziałki są proste, każdy włos na swoim miejscu. W gruncie rzeczy tęsknię za czymś takim. Brak mi tego obchodzenia kobiety. Włosów może bym nie poczesywał, za to uprzątnąłbym każdy intymny szczegół. Poprawilibym pościel. Zawsze jest pognieciona i wygląda to dość dwuznacznie. Może byłbym na tyle perfidny, że przy tej czynności zachowałbym się jak złapani na gorącym uczynku. Lubię wzbudzać zazdrość. Sam z sobą byłbym w porządku, a wzbudziłbym zazdrość. Kobieta byłaby o mnie zazdrosna. Bo muszę powiedzieć, że nigdy żadna kobieta nie była o mnie zazdrosna. To straszne, ale muszę to powiedzieć, żeby chociaż w części usprawiedliwić ten chwyt z poprawianiem pościeli i to co niby ma to poprawianie znaczyć.

Kochałem tylko raz i było to dawno. Nie widzę ani nie słyszę mojej miłości. Jest to fresk zatarty. Próżno nieraz zdzieram z niego różne świstawstwa, które czas ponakładał. To nie znaczy, że nie pamiętam zdarzeń. Początku i końca. Pamięć mam dobrą. W pamięci miłość została. Nie ma jej we mnie. Nie parzy w środku jakby ktoś obracał czerwony węgielek. Jest we mnie zimno jak w piwnicy. Czuję w sobie przeciagi. Jestem pogruchotany.

Powinienem się podnieść i zdusić niedopalek. W korytarzu zapanał już spokój. Pod ręką czuję cieniutką rozplaszczoną warstewkę popiołu. Idę po kręconych schodach coraz wyżej. Tam, dokąd idę, słyszę śpiew. Czyste głosy przelatują przez moją rozpaloną głowę. Schodzą jak śrubokręt wkręcony w niebo. Nigdy się nie skończą. Nie chcą oderwać się od moich stóp przekłute schody w kościelę Najświętszej Marii Pan-

ny. Zatarty napis: „Wejście na chór”. Uderzyły we mnie grudy tonów połączonych, a wśród śpiewających jasna jak zorza stała moja miłość.

Na dole trzasnęły drzwi. Będzie musiał wstać i wyrzucić niedopalek. Doprowadzić do porządku łóżko. Sufit jest gładki, w nic się nie układa. Ci, którzy przyprowadzili kobiety, teraz je wyprowadzają. Popiół pod moją ręką jest zimny.

Leżałem chory. Przyszedł do mnie kolega, który mi ją odebrał. Posiadł ją. Przysłała przez niego książkę z prośbą o przebaczenie i z dopiskiem, że bym przyszedł koniecznie na chór. Była wigilia. Przy oknie stała choinka. We mnie paliło się tysiące świeczek. Wigilijne płomyki przypiekały mi skórę. Rodzina śpiewała kolędy. Brat żeby mnie rozweselić, zapalał nade mną sztuczne ognie. Mama płakała i mówiła: że też musiało ci się tak nie nieszczęście w wigilię przydarzyć. Później wszyscy gdzieś się rozeszli. Mama zmywała talerze w kuchni. Cichutko wyszedłem z łóżka, ubrałem się, przez nikogo nie zauważony, wybiegłem na mroź.

Co oni teraz czują. Ile w nich satysfakcji, a ile wstydu. Kobiety odeszły. Wtedy, jak była przy mnie, nawet o tym nie pomyślałem. Kochałem ją, to mi wystarczyło. Teraz biegnę do kościoła. Biegnę do mojej miłości. Gdy ją ujrzałem, powtórzę to — była jasna, ta moja miłość, i w maleńkiej białej rece trzymała ciemną dłoń chłopca.

Teraz już jestem stary. Ożeniłem się. Mam dorosłe dzieci, ale czasem, gdy jestem zmuszony mieszkać w pokoju, na którego drzwiach jest brązowa cyfra, przypominająca wbity w ścianę hak, zapalam papierosa, kładę się na łóżku i do jutrzeńki patrzę na ich ręce związane.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

DĘBY STAREJ BAŚNI

Andiolli, który mieszkał pod Mińskiem w Osinach, W sztukach rolnych, jak mówią, nie był nazbyt tęgim. Raz gdy zachód w Stojadach napiwszy się wina Pocerwieniał na niebie z tej srogiej mitręgi.

Szedł Andiolli na spacer. Gdy szose przecinał. Ujrzał piece — księżycem opalone dęby. A że kochał się w dziwnych kształtach i rycinach, Rzekł — te drzewa przesadzę na moje arendy...

I przesadził — lecz dziwne, bo rosły, gdzie rosły — Sprawdz, gdy laska — za miastem Mińskim kroków parę — I rosły — sprawdź — za dałą, za garnem jeziora;

Za czas wbity korzenie, a przecież nie poschły. Poniżej, gdzie księżycem owęglona kora, Gryzą pszenicę dziejów głodne baśnie stare.

Mińsk Mazowiecki 1964

CIEŃ MALARZA W MIŃSKIM PARKU

W czas; który nie jest czasem, jakkolwiek jest porą, W miejscu, które jest miejscem, nie będąc przestrzenią, Pan Cegliński, artysta miniony, wieczorem Na płótnie z mgły maluje ciemnią i promieniem —

Najpewniej park, zeschniętej rzeczki mandragorę, Kremski fronton pałacu, z tyłu, w tle milczenie... Malując, że był w życiu rozmowny wieczorem, Pan Cegliński, co minął, rozmawia z kamieniem.

Czemuż właśnie z kamieniem? — Gdy z czasu ktoś wyszedł, Kamień, chociaż pozostał, bliskiej mu natury. Ale głaz, i najlichszy, sam w przestrzeń się pisze.

Minionych wpisujemy w udane obrazy: W skotopaskę astralną, w nad-prawdę majoną — By z nóg ich zdjąć beznierność, a włożyć skończoność.

JAN KOPROWSKI

MOJE TRZY GROSZE

Zwykle na tym miejscu piszę o książkach i sprawach literatury. Dziś będzie o czym innym i dla kogo innego. W ubiegły czwartek przyjechała do Łodzi Polonia bytomska, opromieniona sławą zwycięstw piłkarskich w Stanach Zjednoczonych, by rozegrać mecz ligowy z LKS. Oczywiście nie wytrzymałem nerwowo i wybrałem się na to spotkanie. Nie sam, rzecz jasna. Poszli ze mną Władysław Mrozowski i Władysław Rymkiewicz, a po drodze mignął nam w tłumie kibiców „jak sen jaki złoty” — Roman Łoboda. A mówią, że literaci nie interesują się sportem. Interesują się i to bardzo. Gdyby sportowcy interesowali się tak literaturą, jak literaci sportem — mieliśmy wielotysięczne nakłady książek. Jestem pewien, że oprócz nas czterech, było jeszcze kilku innych kolegów, tylko trudno ich było dobrać w nieprzebranej masie entuzjastów piłki nożnej, którzy ławą walił na boisko przy Alei Unii za Dworcem Kaliskim.

Książki

nadesłane

Julian Przybóś — NA ZNAK — LSW, cena zł 10.
Ray Bradbury — SŁONECZNE WIANO — Czytelnik, cena zł 16.
Alojzy Sajkowski — OD SIEROTKI DO RYBENKI — Wyd. Poznańskie, cena zł 27.
August Grodzicki — PARYSKIE ABC, Iskry, cena zł 25.
Urszula Czartoryska — PRZY GODY PLASTYCZNE FOTOGRAFII — WAIF, cena zł 50.
Stanisław Lem — POLOWANIE — Wyd. Liter., Kraków, cena zł 12.
Beata Szymańska — SNY O PORZĄDKU — Wyd. Liter., Kraków, cena zł 10.
Stanisław Lem — CYBERIADA — Wyd. Liter., Kraków, cena zł 22.
Stefania Skwarczyńska — TEORIA BADANIA LITERACKICH, Wyd. Liter., Kraków, cena zł 60.
Wojciech Kawiński — NARYSOWANE WE WNETRZU — Wyd. Liter., Kraków, cena zł 40.

pozostawił suchej nitki. Tym bardziej na piłkarzach, którzy wyrwali się na śliskiej murawie, a nierzadko ładowali w kahużach.

Sympatie moje (i kolegów) były po stronie LKS, z tego prostego powodu, że mieszkamy w Łodzi i jest nam przyjemnie, gdy nasi wygrywają. Ale przecież nasz patriotyzm lokalny nie zaślepił nas i nie możemy zamykać oczu na to, co się dzieje. Rychło też osłabł nasz entuzjazm dla drużyny łódzkiej. Gdybyż to grali oni ostro! Mecz ligowy to nie zabawa towarzyska i ostra gra jest nie tylko dopuszczalna, lecz nawet wskazana. Ale drużyna LKS grała brutalnie, żeby nie powiedzieć „na chemię”. Popychano bezceremonialnie przeciwników, podkładano im nogi, kopano. Mały Libarda z Polonii niejednokrotnie oddawał piłkę bez walki, bowiem nie chciał wyjść z tego meczu z przetrąconą kością prawej czy lewej nogi.

I cóż z tego, że LKS miał w pierwszej części meczu przewagę, skoro futbolisci grali brzydko i na siłę. Muszę tu przy sposobności oddać sprawiedliwość kibicom. Nie wiem, jak zachowywali się oni podczas innych spotkań. Tym razem byli wyraźnie zawiązani i nie aprobowali wyczynów ekasialaków. Przynajmniej w najbliższym naszym sąsiedztwie i otoczeniu. Ktoś z obecnych powiedział nawet:

„Panie, oni nawet nie nadają się do ligi!” Przypomniało mi to opinie aktorów o niektórych utworach dramatycznych: „Ta sztuka nie nadaje się na premierę!”

Gdyby któryś z moich synów był piłkarzem i wypadło mu grać przeciwko LKS — wyderśwadziłbym mu ten ciemię. Albowiem drżał bym nieustannie o niego i nie miałbym żadnej przyjemności z oglądania zawodów. Tu pora na wyrażenie szczupłego żalu pod adresem kolegów z „Głosu Robotniczego”, „Dziennika” i „Expressu”, że w swoich recenzjach nie wspomnieli nic o delikatnie mówiąc — niewłaściwej postawie graczy LKS. Nie możemy przecież stwarzać atmosfery, że wszystko jest w porządku. Bo nie jest w porządku i trzeba to powiedzieć wyraźnie. LKS utrzymuje się w nierównym lidze „na jednym wiosek” i jeśli będzie grał tak dalej, nie tylko nie poprawi swej sytuacji, ale ją jeszcze pogorszy. W rozgryw-



kach mistrzowskich liczą się punkty. Tak, ale liczy się także styl gry, postawa zawodników. Ich zachowanie się i nastój panujący na boisku. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w przyszłości bytomianie odmówili przyjazdu do Łodzi na mecz z drużyną LKS. Przyznam się, że były chwile, w których palilo mnie uczucie wstydu.

Spytacie, co mnie upoważnia do zabierania głosu w tej sprawie. Po pierwsze, obserwacja, po drugie, opinie, jakie dają się słyszeć w kołach zainteresowanych łódzkim sportem, po trzecie, sympatia jaką mam dla piłkarzy LKS. Grałem i ja kiedyś w piłkę nożną i mam pewne wyobrażenia, czym jest ta dyscyplina. I nikt mi nie wmówi, że to, co zademonstrowali nasi gracze na ostatnim spotkaniu, jest słuszne, a co ważniejsze: że stwarza dobre wróżby na przyszłość. I nie należy ukrywać, że w środowisku ludzi rozmówczanych w sporcie krąży bardzo niepokojące zdania o LKS. Kto tu jest winien: gracze, trenerzy, kierownicy i opiekunowie?

Jest czas najwyższy, by podyskutować o tym, co wprawdzie wszyscy, że taka dyskusja wyszłaby na dobre piłkarzom i publiczności. Bo publiczność jest wspaniała i można by o niej napisać cały poemat: Może zresztą jeszcze kiedyś napiszę. Tymczasem do następnego spotkania, które oby było pod każdym względem lepsze, niż ten mecz z Polonią bytomska.

Prawdę mówiąc bytomianie też nie wykazali szczytowej formy, ale przynajmniej zachowywali się prawdziwie po dżentelmeńsku.

Wasz sługa i podnóżek.

JERZY PORADECKI

O „PUCHU MARNYM” SŁÓW KILKA...

Problem emancypacji kobiet już właściwie należy do historii. Pamiętamy jeszcze olbrzymie plakaty przedstawiające trzy urodziwe niewiasty, kładące w rekordowym tempie cegły na cegle, a między jedną a drugą trochę zaprawy murarskiej, pamiętamy piosenki o traktorzystkach, ale... co z tego zostało? Kobieta za kierownicą nie budzi już zdziwienia. Ale jeszcze nie tak dawno sprawa ta egagła pojawiała się a łamach prasy. Najlepiej głowy brały udział w dyskusjach.

Zaczęło się wszystko na początku wieku dziewiętnastego, tak bardzo znacząco dla wykształcenia się współczesnego modelu społeczeństwa. Wśród gwałtownych przemian, które się wówczas dokonywały, wypłynęła i sprawa miejsca kobiety w społeczności ludzkiej.

Proces emancypacji przebiegał się niejako na dwóch płaszczyznach — jednej, ideologicznej; drugiej, powolnych przemian w obyczajach, życiu codziennym. Znamy dość dobrze przebieg walk, tych na najwyższym szczeblu, gdzie każdy argument był poparty głęboką wiedzą, silnie uutożwiany zdobyczami filozofii, psychologii i rodzącej się wówczas socjologii. Te zagadnienia poruszano już niejednokrotnie i opracowano dość dokładnie.

Był jednak drugi, niemniej interesujący prąd przemian, bez którego cały proces nie doszedłby do obecnego końca. Powoli, drogą zmian w obyczajach, dzięki małym skandalom, wpływom osób mniej lub bardziej znanych, przenikały do kobiet idee, czasem niepełne, czasem w innych proporcjach, niż były przemysłane wśród czołowych ideologów emancypacji, które dawały im (kobietom) świadomość własnych możliwości, roli, praw i obowiązków w życiu społecznym. Zaczęło się od mody, gospodarstwa domowego, pisania wierszy itp., wreszcie doszło do walki o prawo wyborcze, o miejsce w Towarzystwach Naukowych.

Książka Heleny Duninówny jest swego rodzaju uniwersum w naszej literaturze. Jest właśnie historią owych przemian w pospolitym, codziennym życiu. Autorka pisze o sprawach, które kiedyś absorbowały społeczeństwo, społeczeństwo ludzi w pewnym sensie przeciętnych, bywałych salonów, towarzyszywa szlachectwu czy, później, mieszczaństwu. Mówi co prawda o jednostkach w jakiś sposób wybitających się, ale nie one są najważniejsze. Ważne są reakcje społeczeństwa na ich wystąpienia.

Cały czas mowa oczywiście o kobietach, tych, co regularnie przeglądają „magazyny mody”, bywają „w towarzystwie”, myślą o sprawach rodzinnych, o wyjeździe „do kurortu” itd. To jest właśnie owa pasjonująca codzienność.

Czy kobieta może iść na wycieczkę w góry, na któryś szczyt wolno jej wejść bez „utruty czci”, czy nauka pływania „przystoi” niewieście? czy nie, czy znajomość anatomii doprowadzi do rozwiązłości, czegoś znajęca się na tym kobieta utraci szacunek mężczyzn. Proszę się nie uśmiechać. Wtedy to był bardzo poważny problem.

Drobnostki, gdy patrzymy na to z dzisiejszej perspektywy,

Zmichowskiej, Elizie Orzeszkowej, Bolesławy Prus... Były to postacie zbyt wielkie, by się znieśliły w przeciętnym życiu przeciętnej kobiety. Idee emancypacji docierały do tych kobiet przeważnie z drugiej lub trzeciej ręki. Częściej przez modę lub plotkę, niż przez bojowe broszury ideologów. Jednak docierały.

Wielką zaletą książki Duninówny jest bardzo wyraziście, jasne przedstawienie wspomnianych już przemian. Spośród całej masy ploteczek, sensacji środowiskowych, angażujących czasem na tydzień lub dwa umysły kobiece całej Polski, wybrała autorka wydarzenia najbardziej znamienne, doskonale uwypuklające najważniejszy kierunek zmian.

Książka Duninówny, wbrew pozorom, nie jest rozprawą. Jest bardzo przyjemnie napisanym esejem o poważnych sprawach. Żadna powaga nie obywa się jednak bez małych, drobnych śmieszności. I nie zapomina o nich autorka. Materiał stary, przebrzmiały już, traktuje z przymrużeniem oka. Już tytuł ma w sobie coś z przekory. Ale określa on opisywane sprawy w sposób nieco dziwny. Wymierzony jest z jednej strony przeciwko męczyzynom, ale i kobietom nie pochlebiam. Duninówna w pełni docenia rolę kobiety, ale nie daruje jej próżności, zamykania się w „małym, wygodnym pudełeczku”, tak to sama określa, swego małego, pozbawionego treści życia. Takie życie może być urocze, ale przecież nie wolno kobiecie uciekać od społeczeństwa. Działalność na tym polu to już nie tylko jej prawo, to obowiązek. I ten aspekt ironii tytułu i treści książki należy zauważyć.

Książka mimo całego balastu historii, dokumentów, cytowanych notatek z prasy dziewiętnastowiecznej, jest dziełem o dużych walorach literackich. Każdy rozdział, to osobna, z wdziękiem opowiedziana, historia lub historyczka pewnej osoby czy osób. Budowana jest na wzór gawędy, opowiadania, czasem nawet noweli. Zyskuje na tym bardzo urok tej niewielkiej, ale ciekawej pozycji. Dodajmy do tego, że cytowane fragmenty podane są w oryginalnej, dziewiętnastowiecznej pisowni. Nadejść to każdemu opowiadaniu ton nieco żartobliwy. Dzięki temu dawne spory, doniosłe przecież, obserwujemy z uśmiechem.

Helena Duninówna: Kobieta, puchu marnym... Wydawnictwo Łódzkie 1965, cena zł 14.-



nie ile trudu kosztowało wywalczenie sobie prawa do zazywania rozkoszy jazdy rowem. Pierwsze dwie dziewczyny (wtedy mówiło się — panienki), które miały odwagę wybrać się na lodowisko i włożyć na własne nogi łyżwy, wywołały zgorszenie.

Duninówna wyraźnie ograniczyła się do owych „drobnostek”. Jednak kronika towarzyszywa skandalom i niewielkim znaczeniu, doskonale obrazuje proces przemian w społeczeństwie dziewiętnastowiecznym. Nie potrzeba tutaj mówić o czołowych postaciach tego ruchu — Narcyzie

POLEKA z książkami

„WRZESIEŃ KOBIECY”

W ciągu minionego dwudziestolecia mieliśmy wiele okazji, by wrócić do tragicznego czasu wrzesnia 1939 r.

„Wrzesień kobiety” Wandy Melcer, to książka innego rodzaju, niż dotychczas wydawane. Autorka pokazuje nam dzieje samotnej, pozbawionej opieki męskiej — kobiety. Kobiety — trzeba dodać, obciążonej dwójkiem dzieci, wystawionej na okrucieństwa wrogów i swoich, zupełnie bezbronnej i nieprzygotowanej do życia w warunkach wojennych.

A jednak musi sobie ona radzić, musi borykać się z losem sama.

Mąż bohaterki znajduje się w tym czasie na emigracji i zajmuje się tym samym, czym zajmował się w czasie pokoju — pracuje naukowo. Trochę o rodzinie nie jest dla niego dostateczną przeszkodą na drodze do zawiązania nowej rodziny. Po wojnie — mąż oczywiście zostaje na emigracji, widem swoim starym ideom, ale i niechotny nowym komplikacjom rodzinnym, które wytknęłyby, gdyby zdecydował się na powrót do kraju.

Tak więc, zmiany jakie zaszły w życiu naszej bohaterki, okazują się nieodwracalne.

Trudno byłoby dopatrzyć się w życiu bohaterki jakichś czynów niezwykłych. Choć z drugiej strony jej zmagania z losem i wojną są jednym wielkim ciągłym czynem bohaterstwa, w takim sensie, w jakim życie przeciętne go człowieka w Polsce było bohaterstwem. Nie należy przecież zapominać, że w ciągu pięciu przeszło lat

każdy z nas był narażony w każdej chwili.

Na korzyść autorki należy zapisać jeszcze i to, że jest to książka odkrywcza, w której autorka prezentuje nam wiele ciekawych ujęć psychologicznych i pogłębioną intelektualnie. Czyta się ją „jednym tchem”.

JHW

Wanda Melcer „Wrzesień kobiety”, Łódź, 1965. Wyd. Łódzkie, str. 203, cena zł 13 zł.

„ZYWE OGNIWO”

Wielkie środowisko twórcze pozostawiało zawsze, i tak jest chyba nadal, w wielkim cieniu literatów wielkomiejskich. Dziś te dysproporcje zostały usunięte: dobry literat bez względu na swoje pochodzenie zawsze znajduje wydawcę, a czytelnik, jeżeli do pewnych pozycji nie dotrze, to tylko dzięki swojemu niedbalstwu. W okresie dwudziestolecia pisarz wiejski miał mocno utrudniony start, radykalnie i odważnie, domagające się zmian społecznych głosy tłumila

cenzura. O tych czasach, o czynnej, twórczej wsi o literackich walkach o poprawę sytuacji chłopów i postaciach szczególnie zasłużonych w tej walce, pisze Antoni Olecha w swoich szkicach i wspomnieniach zamieszczonych w książce pt. „Żywe ogniwo”. Autor, pisarz i zasłużony działacz kulturalny, sam położył wielkie zasługi w upowszechnianiu oświaty i kultury na wsi podhalańskiej i małopolskiej. Był jednym z czołowych założycieli i redaktorów wychodzącego w latach 30 czasopisma „Wies”, „leś pieśń”, wydawanego później pod skróconym tytułem „Wies”. Znal doskonałe ludzkie współpracujących z jego piśmem, zajmował się wyszukiwaniem abonentów, kłócił się z cenzurą, która konfiskowała co śmieszniejsze artykuły i całe numery — wszystko to wnikiwie odczuwał w pierwszym szkicu „Czas i pieśń”. Cała reszta poświęcona jest wybitniejszym sylwetkom pisarzy ludowych. Dzięki Antoniemu Olasze, współczesny na-

wet, ten mocno obciążony w literaturze polskiej, czytelnik pozna takich ludowych twórców, jak: Stanisław Nędra, Kubina, Antoniego Kucharczyka, podpisującego swoje utwory bardziej z chłopaka jako Jantek z Bugaja, czy chociażby Emila Dziedzię. Fragmenty poświęcone tym ludziom obrazują ich niezłą drogę do kariery literackiej, krótkie chwile sławy i długie, gorzkie lata nędzy w zapomnieniu. Przez książkę Olchy przewija się długi szereg ludowych pisarzy-społeczników, którzy walczyli w swoich utworach o prawa dla wsi.

B. M.

Antoni Olecha: „Żywe ogniwo” — LSW, Warszawa, 1965, str. 232, cena zł 15.

„ZMORY”

Równie sensacyjna co skandaliczna powieść Emila Zegadłowicza „Zmory” została wydana trzykrotnie w 1936 r., a obecnie jej wydanie jest drugim w Polsce Ludowej.

„Zmory” — to ostatnia część „Żywota Mikołaja

Srebrzempisanego”. Czytelnikom nie trzeba zachwalać tej interesującej powieści, której akcja rozgrywa się w latach 1888-1908 w c.k. gimnazjum pełnym dziwaków, sadystów i zboczeńców. Jest w tej powieści coś z koshmaru, z obiednych tortur psychicznych oraz obsesji seksualnej przedstawionej z pełnym realizmem.

Ta śmiała książka przyciąga, zachwyca i burza, każe podziwiać i brzydzić się, podnieca i intriguje. Jest napisana z wielką kulturą, prostym, charakterystycznym dla Zegadłowicza stylem oraz z głęboką znajomością ludzkich charakterów.

Sledzimy losy dorastającego chłopca wśród zakłamania i pruderi dziciatego otoczenia, który do wielu odkryć musi dochodzić własną, nie zawsze właściwą, drogą.

Powieść Zegadłowicza niewątpliwie zainteresuje czytelników i wywoła nie mniej dyskusji i sporów niż w czasie jej pierwszego wydania.

E. I.

Emil Zegadłowicz: Zmory. Wydawnictwo Literackie. 1965. Stron 444. Cena 50 zł.

Malowanie na dwadzieścia rąk

W Działoszynie od tygodnia intensywnie się maluje. Olejem i akwarelami, na sztalugach i bez. Powstają przy tym dziwne wynalazki. Oto Benon Liberski znalazł gdzieś starą szkolną tablicę i wytaszczył ją z maziem na taras, maluje na niej zawieszki. Nie, nie na tablicy! Na płótnie, które zmyślnie ustawił na listwie okalającej tablicę. Konstrukcja jest chwytliwa i niepewna, tym bardziej, że lodowate podmuchy wiatru uderzają z całą siłą w wielką tablicową płaszczyznę i ciałem grozi katastrofa. Raz nawet obraz ładuje na ziemi, na szczęście do góry świeżo położoną farbą. Za to tablica osłania przed zimnymi podmuchami, a znaczy to wiele, bowiem pakując się podczas trzydziestopięcioletniego upału w niedzielne popołudnie 8 sierpnia, nikt nie mógł przewidzieć, że w ciągu 24 godzin pełnia lata przerodzi się w późną jesień. Aneksy do bagażu w ostatniej chwili przed wyjazdem nie zmieniły generalnie sytuacji w zakresie ubrań i dwudziestu łódzkich artystów czeka zębami na letnim plenerze w Działoszynie.

Do tego ciałem wisi w powietrzu deszcz. Żeby chociaż się wypadało, a później spokój. Gdzieś tam! Niby pogodnie, wychodzisz, ustawiasz

sztalugi i edy jesteś „rozmalowany” na dobre, z nieba leje się potoki wody. Chwała Bogu jeśli ulewa z bliska dom, ale trudno malować ciałem z hotelowego tarasu. Biedni plastycy nie raz już zmokli do suchej nitki.

Profesor Marian Jaeschke wzdycha do czasów, gdy będąc w Akademii Krakowskiej, jeździł z kolegami na plenery. — Malarze wówczas — mówi — wozili ze sobą wielkie parasole. Ustawiali je tak, aby parasol w polu i człowiek spokojnie malował.

W tym momencie ogarnia mnie ośnienie i krzyczę radośnie, że w restauracji, gdzie się wszyscy stoją, są przecież ogrodowe, kolorowe parasole, tylko osłonek ciut przyćmiewa. Niestety następnego dnia wyjechałem z Działoszyna, i nie wiem czy ktośkolwiek skorzystał z mego genialnego pomysłu.

Łódzcy plastycy znaleźli się w Działoszynie w wyniku porozumienia między Prezydium WRN w Łodzi, Wojewódzką Komisją Zw. Zaw. cementownia „Warta” w Działoszynie, no i oczywiście łódzkim oddziałem ZPAP. Zaproponowano miłownię plastyków, że urządzony zostanie im plener, otrzymają wszystko co trzeba do malowania, a więc trzy płótna i komplet farb, ponadto wyżywienie i zakwatero-

rowanie na przeciąg dwu tygodni, a oni w zamian zostawiają po jednym namalowanym obrazie. Oczywiście każdy z uczestników pleneru. Prez. WRN i WKZZ sfinansowały całość przedsięwzięcia, cementownia oddała do dyspozycji swój hotel w pięknie położonym, nad zalewem Warty, Ośrodku Sportów Wodnych. Tak więc doszło do pleneru.

Wbrew pozorom, obie strony zrobiły dobry interes i nie była to zwykła filantropia na rzecz dwudziestu artystów. Oddziaływanie kulturowe pleneru — jest olbrzymie. Tak wielka koncentracja ludzi sztuki w tak niewielkim ośrodku jak Działoszyna, musiła zaktywizować kulturalnie mieszkańców. U jednych uzewnętrznia się to poprzez wielogodzinne wytwale kibicowania malarzom, którzy rozstawili tu i ówdzie swe sztalugi. Kibice początkowo bierni, poczynali powoli osmielać się, zadawać pytania, włączać w dyskusję. Sa ogromnie ciekawi tego malarskiego świata, a podchodzi do niego z takim uwielbieniem i nabożnictwem, o jakie trudno by w zblazowanych środowiskach dużych miast. A więc swoista atmosfera, w której plastycy czują się potrzebni ludziom.

Te przypadkowe spotkania i dyskusje, to nie koniec. W

związku z plenerem przywieziono z Łodzi kilkadziesiąt obrazów, które zostały się na wale ciekawa ekspozycja. Zaplanowano dyskusje i spotkania w klubie-kawiarni „Ruch”. Zainteresowanie ogromne. Ożywił się nagle strupiesz klub „Ruch”.

Ten klub to swoista igrzyska panów dyrektorów z Wielunia i warto powiedzieć o nim kilka słów. Lokal piękny, lecz cóż z tego, jeśli w czytelni można przeżyć tylko „Chłopską Droga”, „Zielony Sztandar”, „Drobiazstwo” oraz „Traktor” i to sprzed kilku tygodni. Ani jednego pisma tzw. „kolorowego”. Mały wybór książek. Jeśli zaś chodzi o cześć kawiarnianą, to prócz kawy nie ma nic. Ani ciastek, ani lodów. Prowadząca klub — Jadwiga Siłirska pokazuje

protokoły Kontroli: obejrzano, pokiwano głowami i... nic. — Żadnej pomocy — mówi ze strony dyrekcji „Ruch” w Wielunia. Nawet lodówki nie przywieźli, a stoją przecież w magazynie.

A Działoszyna, mimo, że formalnie to gromada, liczy blisko 4 tysiące ludności. Około tysiąca mieszka w pięknym nowoczesnym osiedlu, którego nie powstydziłoby się żadne duże miasto. Cementownia „Warta” wyrosła na pustkowiu, a wraz z nią nowe życie. Ludzie mieszkają dobrze, nieźle zarabiają. Co miesiąc blisko tysiąc pracowników „Warty” otrzymuje około 2 milionów złotych tytułem płac. Z miliardów złotych zainwestowanych w budowę tego wielkiego zakładu, 12-15% stanowią robotnicza. „Nagle więc

uboga okolica stała się dość zamożna. Po umieszczeniu mieszkań, po zakupieniu pralek i telewizorów, ludzie zaczynają odczuwać potrzebę „wielkiego świata”. I teraz ten „wielki świat” przyjechał do nich. Można go obejrzyć i podejrzyć, niemal pomachać. Cóż za kulturalne trzęsienie ziemi!

Plastycy sporo malują na terenie cementowni. Zafascynował wielki ten potężny zakład. Świadectwem — płótna, które pozostają prawdopodobnie tu, w Działoszynie. Bada zacięciem własnej, zakładowej, a może „romadkiej” galerii. Bada świadectwem zrozumienia i potrzeby obecności sztuki na codzień — nie tylko od święta.



W. Kondak Działoszyna — Nowe osiedle

KRONIKA

Anty:telewizyjna

BIGOS

— Panie Maliniek, jak panu się wydał ubiegły tydzień w TV?

— Bigos!
— Hultajski?
— Skądże, nasz... z uspołecznionej gastronomii: trochę kapusty, trochę kartofelków i w co trzeciej łyżce skwareczek mięsa...

Podobało mi się to określenie sasiada. Kto wie, czy nie będę nim od czasu do czasu się posługiwał. A jeśli tak, to powinienem przypomnieć — zwłaszcza młodszym rocznikom — że bigos hultajski zawiera dużą ilość różnorodnego mięsa i drobno krajanej słoniny, zaś bigos, który na-

zwiermy gastronomicznym, sam jadacie w uspołecznionych zakładach, więc dobrze wiecie...

Otóż bigos, bigosik!
— „Trzeba się zdecydować” i „Karys” Alfreda Musseta z taśmą telerecordingu. Świetne żarty sceniczne na temat miłosne, doskonale zagrane: Mikojajski i Wollejo; Szafarska, Stawińska i Wollejo. (Drugiemu żartowi brakowało trochę tempa).

Kapusta z kartofelkami: transmisja koncertu z Pragi, więcej gadania i czekania niż śpiewu.

Stałe rubryki — magazyny, wstawki, filmiki i zeryzywniki — raz lepsze raz gorsze, więc nie ma powodu, żeby nad nimi dokładnie się zastanawiać.

Al! Prof. Kumaniecki wygłosił interesującą pogadankę o sztuce antyku, przenosząc nas w wieki XV—XX przed n. e. Okazało się jednak, że tam też nie brakowało wojen i ruin.

Fragmenty schillerowskiego „Kramu z piosenkami” zawsze można liczyć na powodzenie.

Tematem „Sąsiedzkiej wizyty” było: na co wczasy jechać z żoną czy bez? Sprawa interesująca i do końca kontro-

wersyjna. Wydaje mi się, że życie w domach wczasowych przedstawiono zbyt idyllicznie. Na podkreślenie jednak zasługuje swada i swoboda dyskusji. Nie często znowu to się zdarza. A w ogóle czy nie warto dokładniej zajrzeć we wczasy? Przecież to nasza ludowa szkoła współżycia, kultury obyczajowej i towarzyskiej.

Jurandot, że wczasy to często tylko łóżko do spania i talony na posłaki. W dodatku, niedwulona dyscyplina wczasowa doprowadza do tego, że w wielu domach FWP nie ma nawet nocnej ciszy, a przecież od ciszy i spokoju zaczyna się wypoczynek. Istotne problemy!

Transmisji komedii Jerzego Jurandota z warszawskiego Teatru Dramatycznego „Dziwoty sprawiedliwy” zadowolę się najlepszym wieczór tygodnia.

Po pierwsze: staranne „ulewizyjnienie”, po drugie: dobra sztuka i dobra realizacja (reż. Ludwik René).

Jurandot, dość dowolnie parafrazując motywy biblijne (patrz: Księgi Pierwsze Mojżeszowe) dla porachunków ze współczesnością, sześciu wiek ułknął naturalistycznej dosłowności, uzyskał prawo do penetracji w różnych dziedzi-

nach. Jednocześnie zaś jego uogólnienie raz po raz kontaktowało się z konkretnymi rzeczywistościami, odnajdowaliśmy je w wielu scenach, afizkach i dowcipach, choć może śpieć, wynikających z języka biblijnego i współczesnego żargonu, w pełni autor nie wyżył.

Jurandot nie siłił się na filozofie wyższego rzędu, nie przestął na satyrycznej mroźności i rozsądku w zakresie „Szpilek”, to też w tym wypadku zaleta. Zbyt ambitne bowiem filozofowanie jakże często pozostaje bez adresu, przestając czegośkolwiek dotyczyć.

Z aktorów najbardziej mi się podobał Jarema Stempowski. Ilekroć widzę go czy tylko słyszę, zawsze się bawie. Sama barwa głosu tego aktora komediowego dostarcza satysfakcji. No, i dobrze go się pamięta z jego początków w Łodzi. Czasem jednak miłam „wąpiłowości”, czy nie za- węża on swojej skali aktorstwa, wpadając w maniery, zresztą własną!

Poprzedzając na tym przeglądzie programu i ciężko westchnijmy. Tego lata przydałby się znacznie bogatszy program. Można było, choćby po lipcu, zorientować się w charakterze tegorocznego lata.

Niestety, nie zadbanie nawet o większą ilość pozycji rozrywkowych, co jest poważnym zarzutem. Gdyby nie festiwal teatralny i kilka transmisji sportowych, za którymi przebiega pan Franuś Maliniek, to co by w pamięci zostało?

A więc pocieszamy się programem, zapowiadającym na zbliżający się sezon. Za parę tygodni Warszawa przytacza nas do osłody niektóre informacje. Ponad 150 widowisk artystycznych — teatralnych i rozrywkowych przygotowuje telewizja w sezonie 1965/66.

W nadchodzącym sezonie przybędą nam dwie nowe sceny: „Maly Teatr TV” i „Nie dzielny Teatr”. Pierwszy reprezentować będzie polskie i obce sztuki współczesne. Z ciekawszych pozycji repertuarowych warto tu wymienić adaptacje opowiadań: Czeski „Tren”, Wygodzkiego „Noc przed odejściem”, Parandowskiego „Godzina śródziemnomorska”, powieści Joyce’a „Portret artysty z czasów młodości” oraz Reeda „10 dni, które wstrząsnęły światem”.

„Niedzielny Teatr” — o charakterze komediowym, przeznaczony dla szerokiego kręgu odbiorców, przedstawi m. in. „Monologi Szwejka”, „Gawo-

dy” Jana Chryzostoma Paska, „Wspomnienia Zagłoby” według Sienkiewicza.

Z innych scen zobaczymy „Damy i huzary” Fredry, „Marię Stuart” i „Horsztyńskie go” Słowackiego, „Trzy siostry” Czechowa, „Juliusza Cezara” Szekspira; współczesną dramaturgię reprezentować będą m. in. „Kaukaskie koło kredowe” Brechta, „Miłość i gniew” Osborne’a, „Diabeł i Pan Bóg” Sartre’a. Przygotujemy także sporo ciekawych adaptacji, np. „Matki Joanny od aniołów” Iwaszkiewicza, „Pruskiego muru” Zaleskiego, „Rosji we krwi skapaniej” Wiesiołogo, „Idioty” Dostojewskiego oraz „Lamieł” Stendhala.

W dziedzinie rozrywki planuje się kilka nowości. „Telewariety”, „Telewizyjny koncert życzeń” (w odróżnieniu od radiowego dedykowany wybitnym ludziom w naszym kraju), „Blues” — o historii jazzu, „Sezam muzyczny” — program nadawany z Poznania, prezentujący opery, operetki i balety.

Zyczymy cierpliwości — na razie i dobrego odbioru — w sezonie!

J. H.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



FILM „LEMONIADOWY JOE” jest w swym pomysle i głównych cechach ekranowej realizacji ciekawym, miłym dla oka przedsięwzięciem. Nie znaczy to, że aprobuję go i chwalebę bez reszty. Ma bowiem bardzo istotne minusy, które zawazyły na jego wartości. O nich jednak za chwilę. „Lemoniadowy Joe” to parodia westernu. Pomysł ośmieszania tego jakże popularnego, lubianego i klasycznego w wypracowaniu własnej poetyki gatunku filmowego nie jest nowością. Wystarczy przypomnieć „Winchester 73”, w którym główny bohater stanowił zaprzeczenie cech przypisywanych dzielnemu cowbojowi z westernu — jest ostatnim życiowym łamagą. Jednak dzięki komizmowi spłotowi zabawnych sytuacji potrafił zdobyć to samo, co cowboy klasyczny i zdobyć sławę niewyciężonego. Znany, faworyzowany od dawna przez komedię chwyt — słaby, niezadany ichor pokonuje dzielnego, sprytnego i bitnego wyścig albo cały

ich zastęp. „Lemoniadowy Joe” jest trochę inny. Walczący ze sobą w tym filmie przeciwnicy godni są siebie: tak samo dzielni, stalni, przebiegli, znakomicie władający bronią. W swym ludzkim weleniu jednakowo marnotrawi, komizni. Ale głównymi bohaterami tej filmowej parodii nie są bynajmniej ludzie, choć na to wskazywałyby pozory. Najważniejsza walka rozgrywa się bowiem nie między nimi — toczy ją stara, wyszlusowana whisky z lemoniadą „Colaroka”, która zarówno nazwa jak i historia reklamy rozłożonej dookoła niej przypomina osławioną coca-cola. One to właśnie dzieli ludzi na dwa walczące obozy. Wszystko sprowadzone tu zostaje do absurdalnych rozmiarów, bije w stereotypowość westernu. I zgodnie z prawem parodii główne jego cechy zostają spotęgowane do granic bezsensu — schematyczność westernu przeobraża się w „Lemoniadowym Joe” w schemat do kwadratu. Stąd bierze się miarunkowość tego

filmu posunięta tak dalece, że przypomina on czasem filmy rysunkowe lub animowane. To podobieństwo jednak ciekawie zamierzono, świadczą o tym najlepiej wplecione w film chwytne animacje, przemieniające ludzi w bezduszne mechanizmy. I w ten sposób wychodząc od pomysłu, który tematycznie nie jest nowością, stworzono film oryginalny, zasługujący na miano eksperymentu. Western — jedyny gatunek filmowy, który nie miał parodii, wreszcie się jej doczekał, a Czechem przysługuje tu palma pierwszeństwa. W „Lemoniadowym Joe” sparodiowany został zresztą nie tylko western. Obok niego przedmiotem parodii jest również amerykański program telewizyjny z typowymi dla niego wstawkami reklamowymi, a także niektóre chwytły z filmu gangsterskiego oraz pierwiastki romantyczne przejęte z literatury brukowej. Ta mieszanina, dążność do objęcia zbyt wielu problemów, nie wysła filmowi na dobre. Brak mu jednolitego stylu, a

całość sprawia wrażenie sztucznego rozciągania filmu do granic pełnego metrażu, gdy tymczasem temat i pomysły starczyłyby realizatorom na metraż znacznie krótszy. Dłuższy i powtórzenia psują w znacznej mierze wrażenie, jakie sprawia film. A szkoda, bo pomysł i realizacja — bardzo interesujące. Na szczególną uwagę zasługują technika barwy. Film jest w zasadzie czarno-biały, ale wiele partii zdjęć nasyconych zostaje tonacją żółtą i wówczas ekran wygląda jak stara, pozółta fotografia z albumu, to znowu — zależnie od przeżyć bohatera kadr rozkłada się czerwienią lub zabarwia niebieskością! Efekty paradytacyjne trafnie podkreśla dobre dobrana muzyka. Mimo swoich nierówności „Lemoniadowy Joe” jest więc pozycją interesującą. To jeszcze jeden dowód, że w kinematografii czeskiej coś się dzieje, że szuka się nowych środków wyrazu, że naszych południowych sąsiadów stać w filmie na oryginalność i pomysłowość.



NAJWYBITNIEJSI komicy filmowi okresu niemego przeżywają swój wielki renesans. Charlie Chaplin, Harold Lloyd, Max Linder i Buster Keaton, na nowo rozmieszają najbardziej wybredną publiczność. Eja, za się w oku kręci! Nie mamy już takich komików, nie mamy już takich komedii. Straszliwie drogo opłaca komedia filmowa udźwiękowienie kina. Toteż wzmawiana współczesne oszalecia wspaniałym bogactwem swego humoru, niewiarygodną dziś wartościścią i pomysłowością. Gazi następują po sobie błyskawicznie, śmiech prawie nie milknie na sal.

Spółród wielkich komików okresu niemego kinematografii Max Linder jest twórcą najbardziej zapożyczonym. A przecież był mistrzem Chaplina, który zawiązał mu tył, jest twórcą burleski filmowej jako gatunku. Nade wszystko jednak zadziwiał swą wirtuozją w budowaniu sytuacji komicznych.

Przypomnienie jego dorobku współczesnemu widzowi było więc jak najbardziej celowe. Tym więcej, że humor jego wcale się nie zestarzał. Dokładnie trafia do dzisiejszego odbiorcy i wzbudza istne salwy śmiechu. Przypomnieniem filmów Lindera zajęła się jego córka Maud. Ona to przygotowała antologię, w której skład weszły fragmenty z trzech filmów: „Bądź moją żoną”, „Siedem lat nieszczęścia” i „Trzech muszkieterów”. Powstały one na początku lat dwudziestych, a więc wtedy, gdy rozbił się już w kinematografii wspaniały gwiazda Chaplina. Uczeń przemił mistrza. Wszystkie trzy filmy nie zostały poklasku, nie zdobyły sławy, pozostały nieznanymi. Spółka je los niezastępowany, są bowiem znikome, zadziwiają swą dojrzałością i nowoczesnością. Toteż do brzo się stało, że one to właśnie zostały się na antologię „ZNOWU MAX

LINDER”. Z trójki tej najlepsze są fragmenty „Trzech muszkieterów”. Kapitałna trafność, wspaniała precyzja, genialna pomysłowość tej parodii powieści Dumasa dostrzegła zwłaszcza ten, który oglądał „Trzech muszkieterów” w najnowszym francusko-włoskim wydaniu filmowym. Odnosi się — wbrew chronologii — wrażenie, jak gdyby dzieło Maxa Lindera było mistrzowska parodią tego współczesnego filmu. Kto wynudził się setnie na dwóch seriach „Trzech muszkieterów” — płać będzie z zachwytu na Maxie Linderze. Ręczę.

MARIAREL



"CANDY" - BESTSELLER

Autorami powieści „Candy”, która na liście bestsellerów amerykańskich zajmuje wysokie miejsce, są Mason Hoffenberg (prawdopodobnie - psu-

donim jakiegos znanego i doświadczonego pisarza) i Terry Southern. O tym ostatnim opinia amerykańska dowiedziała się już dawniej jako autorkę satyry filmowej „Dr Strangelove” albo „Jak polubiłem bombę atomową”, która była odważnym atakiem na amerykańskie lotnictwo i atomowy obłęd. Biorąc tekst „Candy” literalnie można ją uważać za najbardziej pornograficzną książkę, jaka kiedykolwiek została napisana. Ale z punktu widzenia zdrowego rozsądku jest to utwór wysmiewający erotomanie z niezwykłą siłą komizmu. I jakkolwiek nie osiada ona rangi utworów Rabelais czy Grimmelshausena, to jednak - jak na nasze czasy - jest utworem (jak zapewnia krytyka) dużego formatu. „Candy” ukazała się w nakładzie 100.000 egzemplarzy i zostanie sfilmowana przez Hau-leya Kubricka, twórcę słynnego filmu „Lolita” według powieści Nabokowa.

HEMINGWAY - LIRYK

Dzieła autora „Pożegnania z bronią” mają jeden temat - flirt ze

śmiercią (tak przynajmniej twierdzi krytyk Leslie A. Fiedler). Jak wiemy, cztery lata temu kula z dubeltówki myśliwskiej przecięła życie wielkiego pisarza. Czy był to przypadek czy samobójstwo? Kłód by chciał się nad tym zastanawiać? Ale - co potwierdzałoby tezę Fiedlera - śmierć również jest głównym tematem wydrukowanych w sierpniowym numerze amerykańskiego miesięcznika „The Atlantic” dwóch poematów lirycznych Hemingwaya, które zostały napisane w maju i wrześniu 1944 roku i poświęcone Mary Welsh, dziennikarce, która w 1946 roku była jego żoną. Na marginesie warto wspomnieć, że w latach poprzednich (1940-1945) żoną Hemingwaya była wybitna pisarka amerykańska Maria Gellhorn, której piękna nowela pod tytułem „W zdrowiu i w chorobie” można przeczytać w „26 współczesnych opowiadaniach amerykańskich” wydanych w 1963 roku przez Wydawnictwo „Iskry”. Ale wracając do liryk autora „Stary człowiek i morze”, to pierwszy tomik nosi tytuł „To Mary in London” i jest połączeniem wierszy miłosnych i wspomnień z 1942 i 1943 roku, kiedy Hemingway na swej łodzi „Pilar” zwałował na wodach kubańskich hitlerowskie łodzie podwodne. Drugi tomik nosi tytuł „Second poem to Mary”. Mary Welsh-Hemingway wahała się długo, zanim zdecydowała się ogłosić drukiem te liryki. Oświadczyla ona, że w puściźnie Hemingwaya znajduje się więcej wierszy, będących w jej posiadaniu, nie może się ona jednak narazić na wydanie ich w opubliczności.

CARLOTTA O'NEILL

Zona wielkiego amerykańskiego dramaturga Eugeniusza O'Neill liczy sobie już 78 lat, ale nie wygląda na więcej niż na sześćdziesiąt. Na marginesie przypomnijmy, że O'Neill urodził się w 1898 roku, zaś zmarł w 1953. Jego najwybitniejsze dramaty to „Cesarz Jones”, „Anna Christie”. W roku 1936 otrzymał O'Neill za twórczość dramatyczną nagrodę Nobla. Staruszką wdową po pisarzu nie powiedziała w wywiadzie wiele ciekawego o swym sławnym mężu, gdyż zapewne pamięć jej już nie dopisuje. Natomiast wydawało się wspomnienie o tym, że O'Neill wymagał od

siebie wiele jako od dramaturga i niechętnie niszczyl (palil) swe manuskrypty, które były owocem wielu lat wytężonej pracy. Carlotta O'Neill towarzyszyła mężowi przy spalaniu jego utworów i nie starała się go przekonać, że powinien zachować swe rękopisy. Wychodziła ona z założenia, że skoro jej mąż jako artysta powziął taką decyzję, to nie ma prawa przeciwstawić mu się. Hobbv Eugeniusza O'Neill-a były czarno-białe do-rog. Wdowa jest w posiadaniu zdjęć przedstawiających autora „Cesarza Jonesa” w fotelu z wielkim niektem dogłębnie raiacym łeb na kolanach pisarza.



Beatles Lemon nie ma swego życia: gdy jego kuliaci towarzysze idą spać - on, powieściopisarz i poeta - zasiada dopiero do pracy, by w ten sposób dać niezbity dowód, iż John Winston Lemon z Liverpoolu, lat 24, gitarzysta, milioner i Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, mimo nawału zajęć zawodowych i rodzinnych (żona

Cynthia, lat 21, syn Julian, lat 3) - pełną jest ambicji intelektualnych, co, przynajmniej, nie zawsze cechuje gitarzystę. Powyższe reprodukuje- my okładki dwóch pierw- szych książek Lemona. Krytyka przyjęła je na- der życzliwie, porównu- jąc styl do (!) Marka Twaina, Jamesa Thurbera a nawet (!!!) Jamesa Joyce.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Ukazały się w sprzedaży płyty z nagraniami wierszy kilku współczesnych poetów. Teksty recytują autorzy. Miałem okazję wysłuchać nagrań wierszy J. Przybosa i T. Różewicza. Autorzy nie są dobrymi recytatorami własnych utworów. Wiemy o tym już od dawna. Jednak nie można ograniczyć znaczenia tych nagrań tylko do ciekawostki lub dokumentu. Trzeba jednak przyznać, że najlepszym interpretatorem co nie zna- czy - recytatorem, wier-

szą jest jego autor. Nawet w tym wypadku, gdy nie posiada żadnych umiejętności recytatorskich. Interpretacja pi- sarza odkrywa chyba „istotę” jego liryki. Wy- raźnie widać to na dwóch przytoczonych prze- mnie przykładach. Liry- ka Różewicza „uderza” od razu. Przybós w każ- dym powtórzeniu tego samego tekstu odkrywa coraz to nowe jego bla- ski. Cena jednej płyty ty- lko 30 zł, a przesłuchanie jej daje chyba więcej niż lektura tomiku wierszy.

WTOREK

Wekacje zbliżają się ku końcowi - Łódź zaczyna nareszcie żyć. Teatry, muzea powoli otwierają swoje, na gluchodotych- czas zamknięte drzwi. Łada dzień znaleźliśmy w prasie codziennej ogło- szenie o jakimś odczynie, jakimś nowel wystawie. Zacznie się nowy rok kulturalno-oświatowy. Jak to dobrze, że czas leci

tak szybko, że skończyło się lato. Inaczej mógł- byśmy jeszcze długo tkwili w męczącej pu- sce, w niedostępcie imprez kulturalnych. Czekaj nas mnóstwo wrażeń. „Artyści z cale- go świata na polskich e- stradach” - zapowiada „Głos Robotniczy”. Oby choć ich trzecia część za- błędziła do Łodzi.

ŚRODA

W poszukiwaniu wra-żeń wybrałem się do Warszawy. To jest jednak stolica. Czynne kilka tea- trów, wszystkie muzea, kilka wystaw... Na jed- nej z nich - „Ogólno- polskiej Subskrypcji Gra- fiki Artystycznej” - zna- lazłem dzieła trzech łod- zian: Benona Liberskie- go, Henryka Płociński- ka i Leszka Róży. Trze- ba powiedzieć, że ich grafiki należą do najlep- szych. Ponieważ do Warsza- wy daleko a wystawy prawdopodobnie nie bę- dziecie mieli okazji oglą- dać u nas, miłośników grafiki informuję, że or-

ganizatorzy wydali do- skonały katalog, w któ- rym można znaleźć re- produkcje wszystkich egi- ponowanych prac. I to- dobre reprodukcje. Mo- żna również nabyć same grafiki - ceny od 400 do 900 zł. Może zaintereso- wany być tym zakładam- pracy, świetlice, domy kultury. Przecież Zwią- zki Zawodowe z myślą o nich zorganizowały tę wystawę wspólnie z ZPAP. A może by pok-azać wystawę łodzianom. Dla zainteresowanych adres: Towarzystwo Przy- jaciół Sztuk Pięknych, W-wa, ul. Rutkowskie- go 5.

CZWARTEK

Swoją drogą katalog wystawy to dobra rzecz. Zwłaszcza tak pięknie wydany, jak ten o któ- rym wspominałem. U nas, w Łodzi liczymy do wielkich sukcesów samo wydanie katalogu. O je- go wartości narazie nikt nie myśli. Może ZPAP z chwilą

gdy otworzy nowy lokal wystawowy, zwiększy tak- że swoje ambicje, może- zbędzie się na odwagę wydawania pięknych ka- talogów, choćby miały one kosztować nawet 20 czy 30 zł. Ja ręczę, że- chętniej będą kupowane katalogi piękne, choć dro- gie, niż marne po 2 zł.

PIĄTEK

Będąc w Warszawie oczywiście musiałem pójść do teatru. Nie mam zamiaru pisać recenzji ze spektakli. Chciałbym o czymś zupełnie innym. O programie i jego za- wartości. W porównaniu z prze- ciętym programem tea- tru łódzkiego program warszawski jest arcysta- rannie wydany. Najważ- niejsze jednak, że teksty są w nim tak dobrane, że nie ma wśród nich żadnego, który można by nazwać gawędą dla ma-

luczkich (czyt. głuput- kich), co u nas nie jest rzadkością. Popularyza- cji nie łączy się z mier- notą. Natomiast po bar- dzo trudnym tejście, w którym się mówi o ar- chetypach itp. umieszczo- no słowniczek wyrazów obcych. Pomysł doskonały - prawda? Może i nasze teatry pomyśla o progra- mach, które przecież sa- często jedynym źródłem wiedzy o sztuce, dla czy- telnika, który nie czyta- je nawet „Odgłosów”.

SOBOTA

I jeszcze jedna sprawa przed nowym sezonem. Gdyby Teatr Nowy, wzo- rem Teatru Dramatycz- nego, wprowadził na pół- ki stoiska z książkami „Dialogi” z lat ubieg- lych... W tej sytuacji, gdy- nigdy i nigdzie nie moż-

na kupić nawet numerów bieżących miesięczników literackich, podobna in- icjatywa uratowałaby set- ki łodzian przed wędrow- kami do Warszawy, przed- znużonym oczekiwaniem na odpowiedź z Punktu Wysokościowego Prasy Ar- chiwalnej.

NIEDZIELA

Seans nocny w kinie jest zawsze swego ro- dzaju atrakcją. Film jest- cze właściwie nikomu nie znany, późna godzi- na. Wszystko to stwarza pewną atmosferę wyjąt- kowości, nieco odświętną. Z radością więc wsze- dłem do sali kina „Polo- nia”, by zobaczyć „Toma Jonesa”. Widownia była przygotowana na ozyje- cie publiczności w spo- sób dość wyjątkowy. Po- nieważ film jest kome- dia awanturzysta, do sali- poniewierano się mno- stwo resztek owoców, torerek po ciuiekach, w pewnym miejscu na- wet widniała spora wy- spa resztek po wyjedzo- nych paczkach dyni (skąd- oni to wszystko wzię- li?). Przygoda wstępna by- ła lawirowanie wśród- smet. Różko bawed-

że - a mąż wdępnie się na jakiś gryzek i tuż- nad podłogą zmieni się- przynusowo rząd, ku- któremu się zdażalo? Cały film jest bardzo „angielski”. Stąd i je- go dowcip bywa czasem- nieco trudny dla widza. Pu- bliczność okazywała się- jednak niezwykłe poje- tna. Nawet ci, co nie mają- pojęcia, czym się róż- ni humor angielski od np. francuskiego, doskonale- się bawili.

Podziwiam, że to oni- w ramach „dowcipu”- rozrzućli po sali różne- przedmioty, na których- kilka osób się pośliznę- ło. Drodzy łodzianie! Je- steście na prawdę dow- cipi. Tytko, proszę, nie- powtarzajcie dwa razy- tego samego dowcipu.

AMMIANUS.

Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje

ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO

We Francji ukazała się niezmiennie interesująca książka. Autor: Jan Dorst. Tytuł: „Avant que Nature meure”, co można by przetłumaczyć: „Przed śmiercią przyrody” lub dosłownie: „Zanim umrze natura”. Od dawna już uczeni różnych krajów zwracają uwagę na stosunki (nienormalne), jakie zapanowały między człowiekiem a przyrodą, przy czym podkreśla się krzywdy, ciosy, rany, jakie zadaje ten pierwszy swej karmicielce, że wy- razamy się nieco poety- cznie. Książki i artykuły na ten temat wzbudziły już niepokój opinii światowej w związku z za- grożoną przyszłością czło- wieka, szerzej - ludzko- ści. Lista bezprawnych i bezsensownych wymuszeń, jakie człowiek stosuje wo- bec przyrody staje się z roku na rok coraz więk- sza. Większość z nich jest skutkiem rozwoju techni- cznego, który niszczy o- gniem i żelazem różne gatunki zwierząt lądow- ych i tworów morskich. Taka eksterminacja przy- nosi nieobliczalne straty nie tylko gospodarce. Z naszego polskiego podwór-

ka można by przytoczyć przykład zatruwania ście- kami fabrycznymi rzek. Podnosi już i podnosi na ten temat alarm nie- strudzony Jerzy Putram- ent. Ale pomimo jego ostrzeżeń dziesiątki ty- sięcy ryb rocznie ginie w polskich rzekach od- zatrucia. Drugim poważ- nym czynnikiem, obok u- bocznych skutków rozwo-

nie (cytuje z pamięci) pi- sząc, że „mające pracują- niezmordowanie”. Autor „Przed śmiercią przyro- dy” daje apokaliptyczny obraz inwazji świata przez noworodki. W ostatnich 60 latach XX wieku wzrósł za- ludnienia na naszej planecie równa się liczbie urodzeń od początku świa- ta do 1960 roku. Według przewidywań uczonych li- czba ludzi na ziemi w XX wieku wzrośnie z jednego miliarda sześciuset milio- nów do siedmiu milio- nów. Margines pomiędzy- możliwościami produkcji- środków żywności a za- potrzebowaniem na żywno- ść zmniejsza się bez- ustannie i Dorst uważa za- utopię pustą gadaninę- dziennikarzy o wykorzy- staniu alg morskich i za- gospodarowaniu pustych- mających zmniejszyć wra- stający deficyt żywności- wy. Duma człowieka w- połączeniu z jego głupo- tą stwarza tego rodzaju- mrzonki. Dorst zwraca- uwagę, że niektóre rzady- państw na świecie biora- już pod uwagę niebezpie- czeństwo przeludnienia- ku li ziemskiej. W Japonii- odwrócony kierunek poli- tyki ludnościowej przy- znającej dodatki rodzinne- dużym rodzinom. Obecnie- nakłada się podatek na- rodziny, w których liczba- dzieci przekracza troje.



tu przemysłowego, jest- groźba naruszenia świato- wej równowagi demogra- ficznej przez nadmiar- urodzin. Wspominał już- o tym wielki pisarz swaj- carski Fryderyk Dürren- matt w przedświowie do- swej znakomitej mikro- powieści „Krausa”. Dür- renmatt sformułował to- zagadnienie dosyć brutal-



Z GRAFIKI RUMUŃSKIEJ RYS. FLORICA CORDESCO

